

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 19 WRZEŚNIA 1936 R. * NUMER 38 (155)

TREŚĆ: JUNIUS: Komentarze * KAROL IRZYKOWSKI: Prymat psychotechniki * ELIZA ORZESZKOWA: Wyznanie wiary * WOJCIECH BĄK: Czas Makbetowy * HENRYK WORCEL: Dowcip kapitana Kiralyi * H. HLEB-



KOSZANSKA: Grafomania a czytelnictwo * MARIAN PIECHAL: Zatoka w Palermo * EWA KORZENIEWSKA, JERZY MARLICZ: Powieść * J. B.-B.: Książki o Polsce * W. BĄK, j. e. s.: Przegląd prasy * WIESŁAW KRYŃSKI: Socjologia * Nowe Książki.

KOMENTARZE

Kiedy naczelny wódz armii polskiej złożył wieniec na grobie żołnierza nieznanego na paryskim placu Gwiazdy, nastąpiła chwila ciszy... Gen. Śmigły-Rydz oraz towarzyszący mu oficerowie francuscy i polscy, salutując w milczeniu, oddali hołd pamięci bezimiennego bohatera Wielkiej Wojny. Niejeden z obecnych wznosiłszy oczy w górę mógł odczytać na ścianach filarów Łuku Tryumfalnego długi szereg nazwisk wodzów, którym Francja zawdzięcza wielkość i sławę. Wśród nich — kilkanaście nazwisk Polaków.

W tej chwili ze sklepienia stuletniego pomnika przemówiła historia.

Wodzowie spotykają się rzadko. Omawianie codziennych, mniej doniosłych spraw, jakie nasunąć się mogą w stosunkach pomiędzy narodami, nie jest ich przeznaczeniem. W hierarchii rzeczy państwowych reprezentują oni wartości szczytowe, te wysokie sfery świadomości narodowej, w których racja stanu utożsamia się z ofiarą życia. I dlatego w spotkaniu wodzów jest coś wzruszającego.

Polyt naszego wodza nazełnego nad Sekwaną uświetniła jedna z największych manifestacji wojskowych we Francji powojennej. Doskonale prezentujące się oddziały, które w warkocie motorów nowoczesnej broni panczernej i poszumie skrzydeł samolotów defilowały przed gen. Śmigłym-Rydzem, stworzyły — po raz pierwszy od lat wielu — imponującą ilustrację do słów wielkiego wodza i męża stanu, marszałka Lyauteya: „Trzeba pokazać swą siłę po to, żeby nie było potrzeby robienia z niej użytku”. Wzrost znaczenia armii, który dla powierzchownego obserwatora mógłby się wydawać paradoksem w dzisiejszym ukształtowaniu wewnętrznych stosunków francuskich, staje się coraz wyraźniejszy.

Zawarty w czasie pobytu gen. Śmigłego-Rydz w Paryżu polsko-francuski układ o współpracy technicznej i finansowej wynika bezpośrednio z istnienia pomiędzy dwoma narodami więzów sojusznictwa. Jeśli jednak w stosunkach między Francją i Polską oznacza on tylko podkreślenie i dalszy rozwój przynajmniej istniejącego od lat kilkunastu, to na szerszej płaszczyźnie życia międzynarodowego stał się on manifestacją woli utrzymania pokoju, która leży u podstaw dążeń politycznych zarówno Francji jak i Polski.

A że sytuacja międzynarodowa wymaga w chwili obecnej szczególnego napięcia uwagi i konsolidacji wysiłków pokojowych — nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości. Ostatnie tygodnie wypełniła prawdziwa gęstwa wydarzeń, tak że zaczyna się dziś mówić o „kotle europejskim”. Rozszerzenie na całą Europę tego regionalnego niegdyś określenia, wyciągniętego z lamusa akcesoriów największego *coup de théâtre*, jaki widziały dzieje, nadaje naszemu czasowi zaharwienie szczególnego rodzaju. Od chwili zawieszenia broni w r. 1918 nieraz już używano i nadużywano porównań z okresem bezpośrednio poprzedzającym wybuch wielkiej wojny. Nigdy jednak te porównania nie były tak bliskie rzeczywistości jak dziś.

Walka tocząca się w Hiszpanii pomiędzy rządem „frontu ludowego” a powstańczymi oddziałami gen. Franco wykracza daleko poza ramy wewnętrznego sporu. Walczą z sobą dwa światy, dwie zasadniczo odmienne koncepcje społeczne. Opinia wszytkich niemal krajów podzieliła się na dwie części, opowiadające się bądź to po stronie skomunizowanego rządu madryckiego, bądź po stronie „faszystów”. Gorące dyskusje, rozgorzałe namiętności zdają się przyznawać słusność p. René Pinon, który, omawiając w *Revue*

de deux mondes ostatnie wydarzenia hiszpańskie, porównywał czasy dzisiejsze do okresu wojen religijnych XVI wieku. Oto Luter naszych czasów, Trocki, cisnął kałamarzem w diabła, który zjawił mu się pod postacią faszyzmu, i walka rozgorzała. Kalwin — Stalin, papież nowej wiary, zamienia Moskwę w Genewę nowego obrządku, miejsce egzekucji nieprawomyślnych, byłych kapłanów rewolucji. Trzask karabinów, towarzyszący wykonaniu wyroku na 16 przywódcach „lewej opozycji” sowieckiej, nie mógł nie zdezorientować wyznawców i sympatyków komunizmu. Potwierdził, czego domyślaliśmy się nie od dziś, że hasła wywrotowe przestały mieć w Sowietach obieg wewnętrzny. Stały się wyłącznie towarami na eksport. W jaki sposób odbije się to na wpływach komunizmu na świecie — przyszłość okaże. Już dziś jednak podnoszą się głosy, kwestionujące szczerą intencję Stalina i dopatrujące się w procesie „trockistów” manewru taktycznego, obliczonego na zamaskowanie działalności kominternu i jego domniemanego agenta — Trockiego. Tymczasem propaganda komunistyczna zbiera krwawe żniwo w Hiszpanii. Walka dwóch „religii” politycznych trwa. Na jej tle wyraża się konstelacja europejska — mówi się o powstaniu „bloku antykomunistycznego” z Niemcami i Włochami na czele.

Ale wystrzegajmy się nadmiernych uproszczeń. Życie polityczne przypomina nieraz owe obrazy, odnajdywane w kościołach, na których spod zwierzchniej świeżej tynktury przezierną tu i owdzie dzieła starego mistrza — Historii. Niezmienne warunki geopolityczne i linia postępowania obrona przed wiekami nadają polityce mocarstw piętno pewnego fatalizmu, zmuszając je do poszukiwania wiecznych tych samych rozwiązań. Prądy ideowe, temperamenty i namiętności ludzkie, dyskusje w parlamentach mogą poddyktować takie czy inne posunięcia polityczne. Ale siła rzeczy każe jej, prędzej czy później, powrócić do naturalnego łożyska swego racją stanu. Zrozumienie tej prawdy, wynikające z obserwacji dziejów na dłuższej przestrzeni czasu lub też z intuicji właściwej urodzonym politykom, dało prawdopodobnie wielkiej królowej Elżbiecie asumpt do wypowiedzenia pod adresem deputowanych słów, które na tle legendy o wszechmocy parlamentu angielskiego brzmią dość humorystycznie: „Gentlemani, proszę was o niewtrącanie się do spraw państwowych”.

W zamęcie spraw hiszpańskich powraca ulubiony temat historyków dyplomacji: problem Morza Śródziemnego. Odżywa starożytna koncepcja *maris nostri*, wewnętrznego morza imperium. Droga, którą rzymskie galery podążały niegdyś ku wybrzeżom Afryki, płyną dziś okręty faszyzowskie do nowych posiadłości włoskich. Te same przyczyny, które sto lat temu sprawiły, że Anglia sprzeciwiała się rozszerzaniu wpływów Mehmeta Ali, wspomaganego przez Francuzów, każe jej dziś przystosować się do nowej sytuacji, doprowadzając do układu z 26 sierpnia z Egiptem i ugruntuowania wpływów angielskich w państwie faraonów. Toteż zadania, jakie stoją dziś przed p. Edenem, przypominają wielce te, nad którymi głowił się przed stu laty jego znakomity poprzednik lord Palmerston. Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego — pisze jeden z publicystów lewicy francuskiej — że w sprawie hiszpańskiej Anglia nie będzie z nami. A więc z kim? Jest rzecz jasną, że usadowienie się wpływów sowieckich u wrót Gibraltaru nie leży w interesie Wielkiej Brytanii. Ale wydaje się niemniej pewne, iż nie leży również w interesie Anglii popieranie hegemonii Włoch na Morzu Śródziemnym. Droga do Indji musi stać otworem dla okrętów Jego Brytyjskiej Mości. Nie pomylimy się chyba sądząc, że w obradach komitetu koordynacyjnego do spraw neutralności, który obecnie zbiera

się w Londynie, zasada ta przyswiecać będzie przedstawicielom rządu angielskiego, inicjatora konferencji.

A nie zapominajmy o tym, że w myśl układów z października 1904 i listopada 1912 roku mocarstwa europejskie zainteresowane są w losach Marokka hiszpańskiego.

Dekret z 24 sierpnia, w myśl którego okres służby wojskowej w Niemczech został przedłużony do lat dwóch, potwierdził przewidywania tych, którzy zapowiadali, zaraz po zakończeniu Olimpiady, wzrost aktywności politycznej Trzeciej Rzeszy. Mniejsza o to, jak motywują w Berlinie ostatnie zarządzenia wojskowe: czy stanowią one odpowiedź na obniżenie w Sowietach wieku poborowych do lat 19, czy też podyktowane były w pewnym stopniu koniecznościami socjalnymi, które wymagają dokładnego obeznania bezrobotnych ze sztuką wojenną. Faktem jest, że każdy Niemiec, zdolny do noszenia broni, pozostanie w szeregach, łącznie z obowiązkową służbą w armii pracy, przez dwa i pół roku. Podniesie to znakomicie wartość bojową armii niemieckiej, zapewniając jej równoczesne poważne zwiększenie stanu liczebnego. Rząd francuski odpowiedział na dekret niemiecki wniesieniem do parlamentu ustawy o zwiększeniu siły obronnej państwa.

Zatwierdzając projekt ustawy, francuska rada ministrów postanowiła na tym samym posiedzeniu wystąpić na forum międzynarodowym z inicjatywą zwolnienia... nowej konferencji rozbrojeniowej. Jeśli konferencja ta doszła do skutku, nietrudno przewidzieć jej losy w czasach, gdy poza Luksemburgiem nikt chyba o rozbrojeniu nie myśli.

W natłoku wydarzeń dość słabym echem odbił się fakt, który w innych warunkach wywołałby znacznie obszerniejsze komentarze. Ustąpienie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych, a raczej jego nieobecność w

nowoutworzonym gabinecie rumuńskim, do którego zresztą weszli wszyscy pozostali członkowie poprzedniego rządu, jest, bądź co bądź, bardzo znamienym *novum* w życiu politycznym Rumunii. P. Titulescu sprawował swój urząd od r. 1932 bez przerwy. Uchodził za gorącego zwolennika ścisłego porozumienia z Rosją Sowiecką. Przypisywano mu nawet autorstwo projektu „korytarza” dla ewentualnego przemarszu wojsk sowieckich przez terytorium Rumunii i Czechosłowacji, na pomoc zagrożonym sygnatariuszom paktu wschodniego. P. Titulescu nie jest już ministrem spraw zagranicznych.

Z jego ustąpieniem odchodzi w zacisze życia prywatnego jeden z najgorętszych entuzjastów Ligi Narodów. Popularność p. Titulescu na terenie Genewy była istotnie bardzo duża. Pewien dziennik rumuński napisał nawet, nie bez złośliwości, że p. Titulescu zasłużył się Genewie więcej niż... Rumunii. Odchodzi z chwili, gdy Liga Narodów, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebuje przyjaciół. Po gorzkich doświadczeniach abisyńskich można by bowiem zastosować do niej słowa, których użył niegdyś Chamfort, charakteryzując jedną z głośnych kobiet współczesnych: „Jest to czarująca osoba, która się prowadzi możliwie najuczciwiej w danych warunkach: nie żyjąc ani w małżeństwie ani... w celibacie”.

„Miejsca dla silnych” — takby brzmiała ogólna charakterystyka tendencji, dominujących w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej. W powszechnym, nieustającym wyścigu zbrojeń słabym pocieszeniem byłoby to, że wszystkie państwa bez wyjątku motywują zbrojenia koniecznością obrony. Z uderzającego podobieństwa tych oświadczeń można by wnosić, że nikt nie zamierza napadać na nikogo, a zatem zbrojenia na nic się nie przydadzą. Prawdopodobnie jednak słusność dzieł bożych, jeśli się nie uzna zasady, że Bóg jednych oświeca a innych oślepia”.

JUNIUS

KAROL IRZYKOWSKI: PRYMAT PSYCHOTECHNIKI

Kto by się był spodziewał, że psychotechnika, czyli psychologia zastosowana, znana szerszemu ogółowi tylko z poradni psychotechnicznych pomagających przy wyborze zawodu, robi tak wielką karierę, jaką faktycznie po cichu robi w dzisiejszej polityce i która jeszcze w przyszłości się wzmocze, kiedy spadną z niej obce szaty i kiedy — jak o tym marzą niektórzy teoretycy — u steru spraw politycznych stawać będą nie ludzie przypadkowo wyniesieni na to stanowisko czy to siłą swej ambicji czy to przez wypadki historyczne, lecz prawdziwi psychotechnicy, czyli inżynierzy duszy, tym razem duszy zbiorowej.

Kiedy w r. 1914 H. Münsterberg wydał swoje wielkie dzieło o psychotechnice, nie spodziewał się takiego rozwoju rzeczy. Wyznaczył psychotechnice rolę oczywistą w pedagogii, w sądownictwie (badanie świadków), w gospodarstwie (taylorizm), zwłaszcza w handlu (reklama, umiejętność sprzedawania i kupowania) w hygienie (eugenika), w życiu towarzyskim, w sztuce (np. czego się powinni uczyć literaci), w nauce, ale gdy doszedł do rozdziału „Porządek społeczny”, powiedział tak: Psychotechnika ma tu wiele pokus, żeby mieścić badanie środków w badaniem celów, ale powinna się ograniczyć do krytyki, np. wykazując, że pewne cele nie dadzą się urzeczywistnić z przyczyn psychologicznych. Ale jeżeli pewne mechanizmy psychologiczne łatwo się nadają do pewnych celów niezgodnych z kulturą, to już do psychotechniki nie należy; odpowiada ona na pytanie: co

jest osiągalne a co nieosiągalne, a nie: co jest dobre a co złe. Zgodnie z tym założeniem Münsterberg, omawiając procedury śledcze, odrzucił tortury głównie jako środek nie prowadzący do celu, a w rozdziale „Prawo” uchylił się od rozpatrywania terrozu.

Rosja okazała się narodem mającym największy talent i największą też wolę do psychotechniki. Sławne były zawsze jej metody policyjne, polegające na tym, żeby nie tylko dowiedzieć się prawdy, lecz konieczność ją wydrzeć ze złamanej duszy. W tych okropnościach objawiała się bądź co bądź jedna zaleta: namiętna choć naiwna ciekawość duszy i ciała. Od kiedy zaś cały naród rosyjski został schwyty w klatkę rewolucji, jest obrabiany psychotechnicznie jak masa plastyczna, aby dorównał pewnym *a priori* powziętym ideałom socjologicznym. Wciąż jest utrzymywany w stanie wrzenia i niepokoju, zewsząd oblega go reklama rządowa, tak obfita i natrętna jak nigdzie, przez prasę, radio, transparenty; wymyśla się coraz to nowe hasła podniecające; radość i zadowolenie ludu ma się na rozkaz z góry; urzędnicy się uroczyście, które wciąż zlepią rozsypane się atomy dusz w tłumy rozciekawione, rozentuzjazmowane, wywijające chorągiewkami, wiwatujące. Szał reżyzerski, który doprowadził w Rosji do hasła teatralizacji teatru, przydał się w aranżowaniu obchodów; nie wiem, czy jeszcze się odbywają sztuki-rewie, odzwierciedlające zwycięstwa rewolucji — jeżeli nie, to dlatego, że w dzisiejszej fazie by-

41003 / 26 / 632

lyby już dla dawnych rewolucjonistów niebezpieczne. Najciekawsze zaś są rozprawy sądownicze, których fałszowanie dochodzi do mistrzostwa. Zagranica może się na te procesy patrzeć pogardliwie ze swojej wyżyny krytycznej; wewnątrz państwa nie chybiamy one celu. Wreszcie taylorizm, „szatański“ psychotechniczny wynalazek kapitalistyczny, odrzucił się w stachanowiczystwie.

Powtarzać, wkuwać w głowy ludzkie wciąż to samo aż do monotonii — ten stary chwyt psychotechniczny stosuje się w Rosji celowo. Nie przekonują lecz wkuwać. Znamy go zresztą z praktyki także naszych komunistów, z którymi wszelka polemika jest niemożliwa, skoro im chodzi tylko o powtarzanie pewnych jakby obrzędowych gestów i formułek. Do tej praktyki należy również ustawiczne demaskowanie ludzi jako wrogów ludu, jako burżujów lub kontrrewolucjonistów; znowu jest w tym naiwna psychotechnika, wzięta z podziemi więzień G. P. U.

We Włoszech i w Niemczech na mniejszą skalę obserwujemy takie same objawy. Lecz i w innych krajach ich nie brak, bo dziś psychotechnika, znana bardziej pod nazwą: świadomego kształtowania losów ludzkości, a więc jako antropotechnika, jako technika socjalna, jest i powszechnym hasłem i równocześnie zagadnieniem. Weźmy np. tak ulubione dzisiaj dopominanie się o mit. To co się niegdyś nazywało po prostu ideałem, co Fouillée nazwał *ideologia* (*idée force*), Sorel przed wojną odświeżył pod nazwą mitu. Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* powtórzył sorelowskie rozróżnienie między mitem a utopią, ale wcale nie zastanawiał się nad tym, czy taki mit można wytworzać świadomie. Według Sorela takim mitem dla klasy robotniczej stał się strajk generalny. Dziś jest to mit chyba już jako mit zarzucony, od kiedy na tapecie jest po prostu rewolucja (obrazowo: barykady). Błogosławiąc w r. 1919 Lenina, podniósł Sorel to, że oto Rosja znowu stała się rosyjską; czyli — uznał mit energii narodowej. Według C. Schmitta (*Die geistesgeschichtliche Lage des heutigen Parlamentarismus*, 1926) ten mit zwyciężył raczej we Włoszech i Mussolini w 1922 r. przed marszem na Neapol ogłosił publicznie: „My stworzyliśmy mit wielkiego narodu, a mit to wiara, to szlachetny entuzjazm, mit nie potrzebuje być rzeczywistością“. Czyli że mit może być także — kłamstwem. W teście mowie nazywa socjalizm mitologią niższego rodzaju. Z mitów negatywnych socjalizm stworzył i wkuł w głowy mit burżuazji, mit nie potrzebuje być rzeczywistością. Czyli że mit może być także — kłamstwem. W teście mowie nazywa socjalizm mitologią niższego rodzaju. Z mitów negatywnych socjalizm stworzył i wkuł w głowy mit burżuazji, mit nie potrzebuje być rzeczywistością.

W Rosji teoria mitu nie zakorzeniła się, gdyż bądź co bądź jest to wyobrażenie zachodnie. Ale pisarzom wyznacza się nie tylko tematy ale i formę (realizm proletariacki). Z dwóch ciekawych broszur Eugenii Weber (*Pisarz sowiecki i Arsenal bez broni*, 1936, odbitki z *Verbum*) można się dowiedzieć o zuchwałych zabiegach sowieckich około nie już popierania lecz stwarzania takiej zdawałoby się nawiąskowej organicznej i delikatnej galezi kultury, jak sztuka. Ale skoro marksizm mówi, że sztuka jest i tak zawsze tylko nadbudową, czynną zależnym od podłoża socjalnego, więc teoretycznie można zmieniając warunki zmienić też sztukę. Te zabiegi psychotechniczne (doping, szantaż i po prostu terror) jakże dalekie są od poczytych profesorów rad Münterherga udzielanych artystom pragnącym powodzenia u publiczności. — Zresztą, nie zapalają się specjalnie do „mitu“, Rosjanie dobrze znają samą rzecz, o którą chodzi, — pod nazwą po prostu legendy. Legendę o świętym Leninie dobrze wymsceniżowano, jego mauzoleum dorównuje innym miejscom pobożnych pielgrzymek, jak Ławrze Peczerskiej.

Równorzędnie z wolańcem o mit odzywa się wolańcem o styl (życia) a zwłaszcza o typ. I to są istności, które do niedawna uważano za powstające organicznie, więc takie, które można w historii stwierdzać *ex post* — a i to są raczej kombinacje literackie — nie zaś fabrykowane je sztucznie. Ale oto Zagórski, zmarły niedawno w Warszawie teatrolog, domagał się „polekiego stylu“ gry i reżyserii w teatrze, mając na myśli głównie realizm (mimo Wyspiańskiego i Słowackiego). Gorzej jest z typem. Coraz to ktoś woła, pisze: ja, my chcemy „stworzyć“, stwarzamy taki a taki typ! lub: trzeba stworzyć taki a taki typ! Bagatela. Jest to żądanie właściwie wychowawcze; gdyby tu zastosować insynuację marksistowską, możnaby powiedzieć: chodzi o odroczenie spraw palących, o zwalenie ich na przyszłe pokolenia. Ja tu chcę stwierdzić, do jakiego repertuaru należy to żądanie: do psychotechniki i to w skali globalnej. Münterberg zadawał się jeszcze skromnie eugeniką, prof. Florian Znaniecki w swej najnowszej książce *Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości* twierdzi, że dla stwo-

żenia nowej cywilizacji trzeba stworzyć nowy typ ludzi ponad zwykłą miarę, ludzi prawdy i dobra. Jerzy Braun, krytykując ten postulat w *Zecie*, zauważa, że w ten sposób twórczość zostaje niejako „zbiologizowana“. Lecz Braun nie neguje możliwości świadomego i zorganizowanego wpływania na cywilizację, powierzyłby tylko tę misję wrońskizmowi, więc pewnej doktrynie, która jego zdaniem jako zdolna do przetworzenia całego świata może skutecznie rywalizować z komunizmem i faszyzmem.

Napomknąć tu się godzi dla porównania, że gdy Nietzsche konceptował swego nadczłowieka, nie uważał go ani za typ, ani za wzór dla elity, tylko po prostu za ideał, za umowę, którą „zawiesza“ nad sumieniem ludzkości.

Kto by jednak ziścił typ taki czy owaki? Jeszcze niektóre stronnictwa uzurpują sobie

ELIZA
ORZESZKOWA:

WYZNANIE WIARY

Od Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie, które — jak wiadomo — wydaje pod kierunkiem prof. Aurelega Drogoszewskiego i prof. dra Józefa Ujejskiego korespondencję Orzeszkowej, otrzymaliśmy niezmiernie ciekawe *Wyznanie wiary* znakomitej autorki, które wchodzi w skład najętego się już wkrótce ukazać pierwszego tomu jej *Listów*.

Opisywałam już Panu¹ w którymś z dawnych listów, z jakim zapalem w pierwszej młodości swojej rzuciłam się do pracy umysłowej, nie tylko twórczej, pisarskiej, ale w ogóle tej, która jest nabywaniem coraz nowych i coraz szerszych horyzontów umysłowych. Żyłam samotnie, nic mi nie przeszkadzało. Po całodziennym pisaniu dla odpoczynku czytać zaczytałam i bardzo często zamykałam książkę wtedy, gdy przy dogasającej lampie pokój napelniał się białym światłem dnia lub złotym blaskiem wschodzącego słońca. Wszystkie sposoby i prądy ludzkiego myślenia, wszystkie afirmacje i negacje, na podstawach faktów albo hipotez naukowych oparte, przesuwały mi się przez umysł żłobiąc tam ślady mniej lub więcej głębokie i trwałe.

Najgłębsze zrazu, choć nietrwale, wyłobił sposób myślenia ten, który z wielką siłą rozpowszechniał się wówczas na Zachodzie i niemal wszechwładnie zapanował w ówczesnej literaturze polskiej. Nazwano się to filozofią pozytywistyczną lub krócej pozytywizmem. Przywódcami czy mistrzami tego kierunku byli w Anglii i we Francji: *Buckle, Mill, Spencer, Littré, Comte* (założyciel kierunku). Niemcy na swoją rękę podnosili sztagard filozofii materialistycznej (*Haeckel, Büchner, Moleschott*), ale ta się w Polsce nie przyjęła, była snadź dla nas za twarda, za oschła, za gruba. Ale pozytywistami byli wszyscy prawie rówieśnicy moi — takim był duch czasu. Myślił się ks. *C z e c z o t t*² pisząc w liście do Pana, że na moje ukształtowanie się umysłowe wpłynęły sfery literackie. Wcale nie. Rzadko bywałam w Warszawie, z towarzyskami po piórze miałam zawsze kontakt bardzo mały i nie wcale ani dobrego, ani złego od nich nie brałam. Wzięłam to z książki, z własnego nad treścią ich myślenia i z tego przepięknego wiewu pojęć i myśli, który coraz inaczej każdą epokę napelnia i nazewa się — duchem czasu.

Otóż w stosunku do wiary religijnej pozytywizm nie zaprzeczał istnieniu rzeczy nadprzyrodzonych w ogóle, jak to czynił materializm, i nie nakazywał wiary w nie, jak to czynią wszystkie Kościoły i niektóre kierunki filozoficzne, ale zalecał wprost i tylko nie zajmować się nimi, zostawiać je niejako za nawiasem myśli i wiedzy, nie usiłować badać tego, co jest niezbadanem. O istnieniu Boga, o nieśmiertelności duszy i wszelkich innych zagadnieniach tej natury pozytywista mówić miał: Nie wiem. Ani przeczyć, ani twierdzić. Nie zajmować się tem i wyznawać niewiedomości swoją w dziedzinie dla ludzkich spostrzeżeń i doświadczeń niedostępnej. Poza tem nie było w tej doktrynie nic antyetycznego i antyspołecznego, co by umyśle szlachetniejszego od niej odtrącić mogło. Przeciwnie, naprzeciw ołtarzy, od których odwracała twarz ludzkie, wznosiła ona inne: ludzkości i pracy dla niej, altruizmu, wiedzy itd. Było tam zresztą wiele jeszcze różnych zasad i hasel, pięknych same w sobie, ale których wyliczać nie będę, ponieważ z przedmiotem, o którym dziś opowiadam Panu, w bezpośrednim związku nie zostają. Przedmiotem

¹ To zupełnie nieznane dotychczas oświeceniście stosunku autorki *Ad astra* do zagadnień religijnych wyjmujemy z dwóch listów jej (z dn. 7—11 kwietnia 1909 roku i 20 kwietnia tegoż roku) do Tadeusza Bochwica z Florianowa; możliwość ogłoszenia ich zawdzięczamy uprzejmości p. Jana Bochwica.
² Wspólny znajomy Orzeszkowej i Bochwica.

możność stwarzania typów, przynajmniej na lamach swoich gazet, lecz na serio wszystkie mają na myśli tylko państwo i jego omnipotencję. Którekolwiek stronnictwo dorwałoby się do władzy, ziszczaloby swój typ. Sama możliwość i samo prawo do takiej fabrykacji jak gdyby nie ulegały wątpliwości. Rozmach, jaki wzięli bolszewicy, faszyści i narodowi socjaliści, jest tak wielki, że na rachunek przyszłych kataklizmów czy przemian socjalnych wszędzie uskrzydla się nadzieje i wyobraźnię. Skoro bestia liberalizmu już zdechła, czy też wzięta została na łańcuch, można już sobie pozwolić na szeroki lot psychotechniczny. Świat dotychczas nas przetwarzał, teraz my przetworzymy świat.

Doszło do tego przelomowego zwrotu w usposobieniu i bardzo powoli i bardzo nagle, — o czym będzie mowa w następnym artykule.

tym są fluktuacje wiary religijnej, którym podlegałam, tak jak w ogromnej większości podlegają im ludzie z umysłami krytycznymi, analitycznymi, gdy oddają się pracy umysłowej.

Byłam więc pozytywistką, o przedmiotach religii w ogóle nie mówiłam ani tak, ani nie, tylko nie wiem, i przez czas pewien zdawało mi się, że w tej ciasnej i ciemnej celi, w której zamieszkałam, wszystko jest dobrze. Ale nie trwało to długo. Upłynęło lat niewiele, może 6 — 8, gdy uczułam, że bez perspektywy wykrojonej na świat zaziemski, życie ziemskie jest celą ciasną, ciemną, duszną i w dodatku przez mnóstwo przeraźliwych strachów nawiedzaną. Im dłużej patrzyłam na świat, im więcej rozwijała się własna moja istota duchowa, tem mocniej uczuwałam, że ani pierwszy, ani druga w kręgu rzeczy spostrzegalnych i doświadczalnych zamknąć się nie mogą, że nie podobna nie zajmować się tem, co poza tym kręgiem być musi, że pozytywizm dobrym być może dla myśli ludzkiej na początku, ale że potem musi i powinna ona przekroczyć granicę biernej *nieświadomości* i przez puszczyk zjawisk znikomych, cierpień, występków, nędz tego świata, szukać czegoś rzeczywistego, wyższego, czystsze- go, w imię czego można by znosić i kierować życie.

Nie podobna opisać w liście, jakimi drogami spostrzeżeń, doświadczeń, cierpień i znowu zapalczego uczenia się, czytania wyszłam z ciasnego koła pozytywizmu, porzuciłam go za sobą jako wzięty z ogólnego błędu czasu błąd młodego umysłu i stałam się już na zawsze głęboko i niezłomnie religijną. Nie podobna opisać tego w liście i zresztą nie w tem rzecz, jak szłam, ale do czego doszłam, co rozumiem przez wyraz religia.

Przedewszystkiem i nade wszystko wiara w istnienie Boga, Stwórcy, Prawodawcy, Ojca wszystkiego, co istnieje nie tylko na naszej biednej ziemi, lecz w olbrzymim i żadną naszą rachubą niepodobnym do objęcia kosmosie. Ani zmysły nasze dostrzegać, ani umysł istoty Jego pojąć nie są zdolne, lecz zasłaniająca Go tajemnica stoi naprzeciw innej: Jakim jest pierwszy początek i ostateczny cel wszystkiego, co istnieje? Na te zapytania cały rozum wieków, cała wiedza ludzka przez wieki zebrana w jakimkolwiek choćby przybliżeniu odpowiedzieć nie są w stanie. Tłumaczy się one tylko i jedynie przez istnienie Boga, Siły twórczej niepojęcie potężnej i mądrej, która dała początek wszystkiemu i przede wszystkim wykreśliła cel. „Nie przy- padek rządzi światem“ (*K r a s i ń s k i*). Rządzi światem najwyższa Mądrość i Dobroć, bo dwa te przymioty w naszym nawet małutkim ludzkim świecie nierozdzielnie się z sobą wiążą, a ilekroć spotykamy się w nim z mądrością bez dobroci, przy bliższym przypatrzeniu się albo po upływie pewnego czasu przekonanie się musimy, że była to mądrość — fałszywa. Więc obok najwyższej Potęgi i najwyższej Mądrości — najwyższe Dobroć. I tu obok wiary w Boga wytryskuje źródło miłości dla Niego. Nie podobna doskonale, najwyższe Dobroci nie kochać. Człowiek na tej złej ziemi często sprawy z tego przed sobą nie zdając tęskni do wielkiej, do czystej, głębokiej Dobroci i sama już ta tęsknota jest nicją miłosną, łączącą serce jego z Bogiem, który jest tej Dobroci wyrazem najwyższym. Wiem, że naprzeciw twierdzenia tego stają zarzuty czepane z istnienia, z woli Bożej jednak, niezmiernego morza i niezliczonych gatunków Zła. Ale na wszystkie te zarzuty są odpowiedzi, których tu przytaczać nie będę nie mogąc z listu czynić traktatu, lecz z których pojęcie o doskonałej Dobroci Boga wychodzi zupełnie zwycięsko.

Więc oto mamy pierwszy wyraz religii: wiara w Boga i miłość dla Boga.

Teraz następuje pojęcie istnienia w człowieku duszy, o materii, z której składa się ciało jego, odrębnej i — nieśmiertelnej. Ogromnie mizernym i grubo ordynarnym jest

zaprzeczanie istnieniu duszy na mocy tego, że jej zobaczyć ani dotknąć nie można. Któż kiedy na kuli ziemskiej widział jej bieguny albo stopą dotknął jej równika? Jednak pojęcia biegunów i równika są niezbędnymi dla rozumienia kształtów, ruchów i różnych właściwości ziemi. Tak samo nie podobna zrozumieć myśli ludzkiej i całego wysokiego rzędu uczuć ludzkich bez pojęcia o pierwiastku duchowym, który posługując się jak narzędziami organami naszego materialnego ciała tworzy w nas myśl, wyobraźnię i te uczucia wyższego rzędu, które często w sposób wrogi znajdują się względem materii naszej nakazując jej czyny trudne, ofiary ciężkie, czasem męczeństwo. Nie mogąc zobaczyć ani dotknąć swej duszy człowiek *ją czuje w sobie*, a ktokolwiek jej nie czuje, znajduje się, zdaniem mojem, pomimo nieraz przeciwnych pozorów, na niskim szczeblu rozwoju duchowego, to jest na takim szczeblu, gdzie nie ma jeszcze pracy myśli i serca, zdolności do wielkich cierpień i wielkich radości, do wyrzeczeń się i ofiar, składanych czemuś, co nie jest ciałem ani żadną rzeczą, która jego jest. A skoro posiadamy w sobie pierwiastek duchowy od materii odrębny, więc rzecz prosta, że koniec materialnej części istoty naszej jego końcem być ani musi, ani może. Istnieje on w ciągu dalszym, a jak? O tem nikt nie wie. Naturalnie, że elementarne pojęcia o piekle i czyszcisku na nic się już nie zdały i od księży oświeconych wyszłam, że nawet Kościół absolutnie i dosłownie wierzyć w nie nie nakazuje, lecz gdyby i nakazywał, wysokie i czyste pojęcie o Bogu wiary tej nie dopuszcza. Tajemnicą to jest tak samo jak istota Boga, lecz nie straszną dla tych, którzy wierzą w tego Boga dobroć i sprawiedliwość. Co zdaje się być pewnym — i jest to zdanie wielu myślicieli i poetów, a między nimi *K r a s i ń s k i e g o*, że przeznaczeniem dusz naszych jest stopniowe zapewne, przez wiele prób i wędrowek — udoskonalenie się i znalezienie się na jakimś szczytce Dobra, Piękna i Szczęścia, który wieńczyć musi to dzieło Boże, jakim jest wszechświat. Istnieją o tem całe teorie, sama jedną z nich posiadam i wyznaję, lecz dla określenia jej trzeba wiele bardzo miejsca i czasu, więc streszczając się zapisuję tylko jako drugi punkt niezbędny wszelkiej religii: wiara w nieśmiertelność duszy i w pozagrobowy dalszy ciąg jej doskonalenia się.

„I wzięwszy skrzydła niezłomne
Niemni znów leci, lecz już w wyższą stronę“.

Bo:

„Szkolą duchów są ludzkości dzieje,
Drogą do niebios planety koleje“.

(*K r a s i ń s k i*)

A trzecim niezbędnym punktem religii jest właśnie to włożone na duchy ludzkie przez Boga prawo doskonalenia się. Bóg jest najwyższym prawodawcą świata: „Pan wciąż z niebios myśl swą sieje“ (*K r a s i ń s k i*). Dla nieodgadniętych celów swoich rzucił Bóg człowieka pomiędzy falę zła i falę dobra rozkazując mu walczyć z pierwszą, wzbijać ku górze drugą. Dzieło to spełniać musi człowiek na wewnątrz i na zewnątrz, w samym sobie i dokoła siebie. Tę walkę i tę pracę nazywamy prawami moralnymi.

Najwyższym i nie dorównanym dotąd wyrazem praw moralnych jest nauka Chrystusowa, dlatego i religia chrześcijańska uważaną być musi za najwyższą z pomiędzy religii. Ona to zawiera w sobie najwznioślejszy i najczystszy punkt treści samej istoty religii, którym jest miłość dla Dobra, nienawiść dla Zła, walka ze Złem, praca nad pomnażaniem w sobie i w innych Dobra.

A teraz czem jest Kościół, właściwie czem są Kościół, bo przecież jest ich na świecie wiele?

Kościół — to naczynia, które powyższe pojęcia religijne zgromadzają w sobie, przechowują i ludziom w formach o ile podobna najprzystępniejszych i najpowabniejszych podając przed zanikiem i zapomnieniem je bronią. Jako spełniające zadanie to są szanowne i szanowanymi być powinny, jako dzieła rąk ludzkich są omylnie i wpływom różnych klimatów, ras, momentów czasu, różnych ludzkich ślepot i namiętności podlegające. Inne powstają w wiekach wcześniejszych, inne w późniejszych, inne na wschodzie, inne na zachodzie, czy na północy i południu. Tworzą też coraz inne dogmaty i obrządki, w których bywa wiele prawdy i wiele ludzkich błędów, wiele rzeczy wiecznych i takich, które czas swój przeżywają i przemijają. Można we wszystko kościelne wierzyć i być zupełnie niereligijnym, gdy się nie ma miłości dla Boga i bliźnich i nie dąży się ku udoskoleniu swemu i innych; można o wielu rzeczach kościelnych wątpić i posiadać w sobie ducha religijnego, gdy się Boga kocha i względem praw Jego jest się o ile tylko podobna jaśniejszym. Na spodzie każdego Kościoła jaśnieją trzy wiekiuste i zbawcze prawdy: Bóg, dusza i prawa moralne i kto je posiada jest religijnym, a im głębiej w duszy je posiada, tem jest religijniejszym, choćby z Kościołem na wielu punktach w pojęciach się różnił.

Kościół te kapitalne i podstawowe prawdy przechowuje, pod symbolami i surowymi przykazaniami ukazuje ludziom, którzy bez tego w większości swej pomijaliby je i o nich zapominali. Zadanie to wielkiem jest i szanowaniem być powinno, ale szacunek nie odejmuje prawa do krytyki, przeciwnie, im więcej coś ezanujemy, im wyższe znaczenie czemuś przypisujemy, tem ściślej obowiązani jesteśmy do wykazywania tego czegoś błędów czy niedostatków. Tylko trzeba, aby krytyka była poważna, uzasadniona, wolna od złości i nienawiści, od niesprawiedliwych napaści i uchybień.

A księży? Cóż? Na księży zapatrywać się trzeba jak na ludzi ułomnych, którzy nie zawez sprostac mogą swemu wielkiemu i trudnemu zadaniu, którzy nawet nie zawsze w pełni rozumieć je są zdolni. Tak samo ułomnymi i niedorosłymi do zadań swych bywają

ludzie zawodów innych, mniej wymagających nawet i mniej niełatwych. Spotykamy np. nieuczciwych, niesumiennych, moralnie zeputych pisarzy i uczonych, a czyliż dlatego wątpimy o konieczności i dobroczynności istnienia piśmiennictwa i nauki? Religia swoją drogą, a ci, co ją w ręku swem piastują — swoją. Ci mogą być niemądrzy, źli, zepsuci — ta pozostaje wielką, wiekuiętą, świętą. Jest to Idea — w ręku ludzkim. Niedoleżne czy brudne ręce nie powinny nas zrażać do tkwiącej w nich perły najwyższej ceny. Dla księży, tak samo jak dla innych ludzi biednych, słabych i ułomnych, pobłażliwość mieć trzeba i nie pozwalać, aby cienie od nich padające przed oczyma duszy naszej zasłaniały Boga, nieśmiertelność i prawodawstwo Boże.

Oto jest moje, bardzo w krótkości wypowiedziane, wyznanie wiary.

H. HLEB-KOSZAŃSKA:

GRAFOMANIA A CZYTELNICTWO

Pobudką do skreślenia niniejszych uwag był artykuł J. E. Skińskiego *O sprawiedliwość dla grafomanii*¹. Niedostatecznie jasny jego tytuł wymaga komentarza w tej postaci, iż dowodzenie swoje nastawił autor na obronę początkujących pisarzy, produkujących utwory bardzo słabe — „literacko nie-narodzone“ (termin Irzykowskiego i Skińskiego). Sądzi autor, że należy się im zachęta, stwarzająca warunki do dalszego rozwoju w tej nadziei, iż ewolucja ich uzdolnień może ich wnieść ponad pierwotny poziom grafomanii. W poniższych uwagach podam próbę cokolwiek dokładniejszej charakterystyki grafomanii, a zarazem postaram się oświetlić zagadnienie od innej strony: nie autora producenta, ale — jej konsumenta, czytelnika.

Na wstępie stwierdzić należy, że przy orzekaniu o tym, czy dane dzieło ma piętno grafomanii, obojętną sprawą jest proces jego powstawania: owo pracowite, czasem maniackie — jak to podaje Skiński — gromadzenie pomysłów, z których tylko część wejdzie do dzieła. O borykaniu się z materiałem przy wykształtowaniu ostatecznego pomysłu wiemy dzięki analizie filologicznej dość wiele. Zwykle się tu cytować nazwiska bardzo wybitne: Balzaca, Flauberta, Prousta i t. d. Ale to są rzeczy całkiem obojętne dla naszych celów. Podstawą wydania sądu będzie zawsze tylko skończony kształt dzieła, ten, w którym podaje je autor czytelnikom.

Bodajże najdokładniej umiemy znamiona grafomanii charakterystyka, stwierdzająca, że grafoman to autor przejmujący (raczej nieświadomie) gotowe wątki tematyczne, schematy konstrukcyjne oraz cudze nawyki stylistyczne.

Gdy mowa o wątkach tematycznych, zdaje sobie sprawę, że nie może być stawiane wymaganie absolutnej nowości w literaturze. Niemniej jednak jest rzeczą pewną, iż wybitni autorzy odmładzają dawne wątki dzięki odmiennemu ich postawieniu ideowemu i oryginalnemu rozwiązaniu artystycznemu. Jedno śmiało nowatorstwo zapładnia szereg naśladowców, mniej lub więcej uzdolnionych. Ci czasem kontynuują rozpoczęty wątek, kiedy indziej — idąc za tą podniętą — wciągają tematy styczne, ale rzeczą talentu (pierwiastek niewymierny!) jest, czy to opracowanie wnosi coś wartościowego, czy też nie wychodzi poza próg jałowego przetra-

wiania cudzego dorobku. W tym ostatnim przypadku — rzecz oczywista — mamy do czynienia z grafomanią.

Zdaje się, że słuszność tego twierdzenia najlepiej wychodzi na jaw przy ujmowaniu grafomanii historycznie. Istnieje od dawna, przybrała wszakże na rozmiarach, odkąd druk stał się zdemokratyzowanym wynalazkiem. Rzut oka wstecz na naszą literaturę wskaże nam jako najbardziej rozpleniony jej kształt — panegiryk, który ginie dopiero w początkach XIX stulecia. Jednorodność tematów oraz konstrukcja, niemal znormalizowana dzięki owoczesnej poetyce — wreszcie stylizacja są najlepszą ilustracją podanej u wstępu charakterystyki grafomanii. Potwierdzi to samo poezja którejkolwiek bądź z autorów, którego nazwisko przekazały nam jedynie bibliografie. Cytuję dla przykładu Michała Kazimierza Ogińskiego, podpięającego swoje dziełko jako Obywatel elonimeki: *Bajki i nie-bajki, Książka in octavo majori, Powieści historyczne i moralne*. Trudno jest dobrać do końca tej lektury; — wynik jej stwierdza powtarzanie komunalów XVIII-wiecznego postępu, wątków tematycznych, spopularyzowanych przez pisarzy racjonalistyczno-sentymentalnej epoki, wreszcie nieudolność stylu, która utwory te pogrzebała w zasłużonej niepamięci.

Ale idźmy dalej. Od połowy XIX wieku głównym siedliskiem grafomanii jest powieść i liryka. O jej wątkach może najłatwiej będzie mówić, zestawivszy dwie tak odrębne literatury, jak współczesna polska i sowiecka. Tę ostatnią cechuje nade wszystko (dopuszczam się tu świadomie pewnego uogólnienia) gloryfikowanie ideałów socjalistycznego budownictwa. Stąd również czerpie swoją tematykę rzesza grafomanów. Właśnie przy lekturze tych autorów najłatwiej jest uchwycić całkowity brak inwencji w zakresie problemów oraz nużącą nieudolność artystyczną, która tak specjalnie razi dzięki tendencyjnej motywacji psychologicznej. Jest to też sama tematyka, która w dziełach artystycznie dojrzałych potrafi zdobywać uznanie dla współczesnej twórczości rosyjskiej.

W odmiennie płaszczyźnie obraca się problematyka polskiej grafomanii. Niezaprzeczenie dominuje w niej erotyka. Mówiąc to, dopuszczam się uogólnienia, chcąc wskazać wypuklejsze przeciwstawienie: hasel społecznych i wątków erotycznych; nie chcę twierdzić, że jest to jedyne pole zainteresowań tych dwóch literatur i ich odcinków

CZAS MAKBETOWY

*Jakim słowem odegnąć upiory znad wież?
Jakim gestem wypłoszyć wiedźmy sponad ulic?*

*Nad wiekiem — miastem naszym — przyjacielu, wierz,
Czarownice Makbeta szepcą złe zaklęcia.
Mieszają w kotle z miedzi wywar ciemnych ziół,
Kreślą palcami trupów hypnotyczne koła.
I coraz mocniej obwód zaciska się kół,
I coraz mocniej trują nasze płuca zioła.*

*Spójrz — w świetle księżycowym — już z bezkształtnych chmur
Utworzyły się ciała makbetowskich widm.
Słyszysz? Już się odezwał przeraźliwy chór:
„Czasie, Makbecie krwawy — szybciej, szybciej jedź!
Wszystkie prawdy kłamliwe. Jedną prawdą noc,
Sztylet krwawy, pięść ciężko w śpiącego jak młot.
Prawdą: podstęp i zdrada, prawdą: nagła śmierć.
Czasie, Makbecie miły, nie wahaj się. Jedź!”*

*Widzisz: oto nad rzeźnią wiedźma wzniosła dłoń
I mocniej bije z kotła ziół zatrutych woń.*

*Widzisz: ponad ratuszem druga wiedźma jest,
Kreśląc wychudłą dłonią hypnotyczny gest.*

*A trzecia, najstraszliwsza z makbetowskich widm,
Wola: „Czemu się wahasz? Jedź, Makbecie, jedź!”*

I Makbet jedzie...

WOJCIECH BAK

HENRYK
WORCEL:

DOWCIP KAPITANA KIRALYI

Wartownik Fantoma ocknął się nagle, podniósł z ziemi przewrócony karabin i zachłannie rozejrział się po posterunku.

Przed nim, w odległości kilkunastu metrów stały dwa masywne budynki — magazyny uprzejmy; w jednym z górnych okienek, na brudnej, zapajęczonej szybie załamywał się blask księżycy. Tam, w tych budynkach nic się nie działo — czarne lufki milcząco patrzyły w pola, ciężkie, żelazne drzwi zamknięte były na klódki i zaplombowane. W przeciwnym kierunku, za grubym pnem drzewa, o który się przed chwilą opierał, daleko na północy mrugały nikle światelka miasta Szantorgen — dolatywało stamtąd swarliwe szczekanie psów i gluche, jakby podziemne dudnienie. Z pól zalanych mętną poświatą wypelzał leniwie długi wąz gościńca, na którym piasek, prażony od kilku tygodni słońcem i mielony tysiącami żołnierskich butów, stał się mialki i szary jak popiół. Gościniec ten ocierał się zakretem o magazyny uprzejmy i eskortowany przez dwa rzędy wychudłych topól ginał między zabudowaniami garnizonu Bia Togary. Tam wartownik Fantoma uchwycił pierwszy spojrzaniem szarą plamę poruszającą się między cieniami drzew — im dłużej jednak patrzył, tym mniej widział — plama rozlała się w zwodniczej poświacie jak plazma w mętnej wodzie. „Przywidziało mi się“ — pomyślał. Przewiesił karabin przez ramię i ruszył ku budynkom. Dręczyło go niejasne poczucie niebezpieczeństwa: „ktoś tu był“. Przechodząc koło magazynów, mimowoli sprawdzał klódki i plomby, czego nigdy, odkąd bywał na tym posterunku, nie robił. Nerwowo spoglądał w zakratowane otwory, odwracał się gwałtownie za siebie, a narożniki budynków okrążał z daleka, jak gdyby za tymi narożnikami na niego coś czyhało. Cisza panująca w magazynach i na pustym gościńcu drażniła — bał się tej ciszy i z utęsknieniem spoglądał ku Bia Togary, skąd, według jego obliczeń — uwzględniając pięć lub dziesięć minut drzemki — za pół godziny miała na-
dejszć zmiana warty.

Stanął pod drzewem twarzą zwrócony w

stronę Szantorgen. Zdawało mu się, że czerwone i żółte światelka mrugają za wysoko, jakby w niewidzialnych wieżach nad miastem. Natomiast szczekanie psów wydało mu się zbyt bliskie, jak gdyby pochodziło nie z Szantorgen lecz z pól zatłuszczonych księżycem.

Naraz drgnął i odruchowo sięgnął do kloby karabinu.

Przed nim, w odległości kilkudziesięciu metrów jakaś wysoka postać zataczała się po gościńcu, dążąc ku Bia Togary — ukazała się tam nagle niby szary, chybotliwy plomien gotowy w każdej chwili zniknąć. Nie zniknął jednak. Miotając się na wszystkie strony i wzniesając tumany kurzu sunął ku magazynom. Nagle utknął butami w piasku, przechylił się w tył, podniósł rękę wysoko i zawołał jakby do księżycy:

— Hej, wartownik!

Teraz dopiero Fantoma poznał porucznika Metzzenzefy, jednego z największych hulaków garnizonu. „Pewnie wraca z nocnej pohulanki w Szantorgen“ — pomyślał i u-
spokojny wyszedł spod drzewa.

— Jestem, panie poruczniku!

— Hej, wartownik! Nie widzieliście kapitana Kiralyi?

Fantoma milczał. „Bardzo możliwe, że jakiś kapitan Kiralyi przechodził tędy — mogło się to stać podczas mojej drzemki“.

Porucznik Metzzenzefy pochylił się do przodu i, najwidoczniej w celu uzyskania równowagi, wykonał dwa nieudolne skoki.

— Hej! Wartownik!! — krzyknął tak głośno jak gdyby chciał zbudzić cały garnizon. — N.e -z- dt ttedy kapitan Kiralyi!?

— Nie, panie poruczniku, — nie widzia-

łem. Metzzenzefy machnął rękami, zatoczył się w bok i ruszył ku Bia Togary — jego chude nogi, obute w sztylpy, uginały się w kolanach i zarywały stopami w pył gościńca. Fantoma odprowadził go wzrokiem do cienia pierwszej topoli, poczem niedbale poprawił karabin i wolnym krokiem oddalił się ku magazynom.

Psy w Szantorgen przestały ujadać, natomiast gdzieś daleko, może z Balö albo z Dyzony niosło się przez pola potężne szczekanie brytana. Robiło się parno, wartownik Fantoma rozpiął kołnierza kurtki i przerzucił karabin na lewe ramię, gdy na gościńcu od strony miasta wylonila się nowa postać, mniejsza od poprzedniej, ale również zataczająca się jak tamba. Postać ta, zbliżywszy się do posterunku, szeroko rozstawiła nogi na środku gościńca — metalowe guzy iskrzyły się na jej uniformie.

— Hej, wartownik!

Fantoma poznał w pijanym majora Holvay.

— Jestem, panie majorze! — odrzyknął.

— Aha... A nie widzieliście kapitana Kiralyi?

— Nie, panie majorze; widziałem tylko pana porucznika Metzzenzefy — poszedł tam do koszar.

— Aha... — pijany major zawrócił z powrotem w stronę Szantorgen, ale, uszedłszy kilkanaście kroków, wykonał gwałtowny zwrot w tył i, kreśląc butami zygzaki w pył gościńca, ruszył ku Bia Togary.

Zjawienie się drugiego oficera o tej porze zaniepokoiło Fantomę — przypomniało mu bowiem ową szarą plamę, którą był dostrzegł między cieniami drzew wkrótce po ocknięciu się z drzemki. „Może to był kapitan Kiralyi? Ale, właściwie, kto to jest kapitan Kiralyi?“ — wartownik Fantoma nigdy o nim nie slyszal — „Może kapitan Kiralyi wogóle nie istnieje?“ — Chyba że to jest ten nowoprzybyły oficer, którego wczoraj widział na ujeżdżalni w chwili, gdy doprowadzono do wściekłości złą jazdą rekrutów, rzucił bat na ziemię i zaczął go trącić butami, klnąc przy tym i miotając gniewne spojrzenia znad wąsów przekreślających plową rysą jego rozpaloną do czerwonosci twarz — były to objawy gniewu tak groteskowe, że już przestały być straszne — rekruci odwracali głowy i tłumili śmiech. „Ciekaw jestem czy on zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia jest śmieszny w swym gniewie? Jeżeli tak, to jest on niebezpieczny“ — Fantoma wyczuwał niejasno, że nie tak nie deprawuje człowieka jak poczucie własnej bezsilności. „Nie chciałbym się z nim ze-

tknąć. Nie, kapitan Kiralyi nie przechodził tędy“. Fantoma spojrzal jeszcze raz w stronę garnizonu, śląc uporzeczywe, nakazujące myśli ku żołnierzom spoczywającym na deskach wartowni, gdzieś tam za grubą zasłoną ciemności i drzew: „wstańcie — już dwunasta!“

Robiło się coraz parniej — za godzinę nad tą okolicą rozpięta się burza; nie nadciągnie z daleka — ona już dyszała tu śpiętą powietrzem, uwięziona między rozgrzaną ziemią a lodowatą pustką górnych rejonów, tętniła w tkankach roślinnych i w ciele wartownika Fantoma.

Nie chciał już okrążyć budynków, bo tam ponury cień przyslaniał wybujałe liście łopuchu i wielkie kamienie porozrzucane w trawie. Przyszła mu niedorzeczna myśl: podnieść jeden z tych kamieni, rzucić go w okienko magazynu i krzyknąć: „kto tam!“ — potem skierować karabin w pole i strzelić na postrach — zapelnic ciszę hukiem, uderzyć ją w metafizyczny pysk, zniweczyć istnienie czegoś, co nie istnieje, a mimo to budzi grozę.

Wiedział, że tego nie robi, schylił się jednak, by podnieść kamień.

Nagle wyprostował się i stęzał; — przed nim oto, na gościńcu, jakaś mała, pokraczna postać tkwiła w miejscu, chwając się sztywno na boki — blask księżycy migotał na jej wypolerowanych sztylpach. „Czyżby kapitan Kiralyi? Czego on tu chce, skąd się wziął tak nagle? Zawołać: kto tam!“

Maly człowieczek, prosty jak pionek, przesunął się ruchem konika szachowego na skraj gościńca i stanął nad rowem — Fantomie zdawało się, że stworzenie to ma tylko jedną grubą nogę podkuta rolkami.

— Hej, wartownik!

„Nie, to nie kapitan Kiralyi — to jakiś...“

— Jestem! — odrzyknął Fantoma. — Jestem, panie poruczniku — dodał, ujrzawszy jedną gwiazdkę na kołnierzu oficera.

— Wartownik, widzieliście kapitana Kiralyi?

— Nie, panie poruczniku.

— A major Holvay szedł tędy?

— Tak, panie poruczniku, dziesięć minut temu.

— A kapitan Kiralyi nie?

grafomańskich. Absolutnie pewną jest rzeczą, że w tych utworach próżno szukać zapoczątkowania nowych pomysłów. Jeśli tylko oryginalna inwencja cechuje autora, to nawet — pomimo nieporadności formy — dzieła jego nie będziemy traktowali jako wytworu grafomanii. Właśnie rzeczą przenikliwej krytyki jest umieć klasyfikować dzieła, zwłaszcza początkujących autorów. Niezaprzeczenie przy tego rodzaju kryteriach o wiele rzadziej będą wypadki przeceniania, natomiast uzyska się całkowicie pewne podstawy przy wartościowaniu dorobku zamkniętych epok.

Nie wymaga specjalnej dokumentacji sprawa schematów konstrukcyjnych: wiemy, że w pewnych epokach dominują ten lub ów typ, np.: powieści psychologicznej, reportażowej i t. p. Akcja montowana jest w pewien jednorodny sposób i t. d. Tu właśnie odnieść należy, na karb cudzego gotowego schematu, tak częste potknięcia się w prawdziwej artystycznej i życiowej danego utworu.

Bodajże najłatwiej uchwytym momentem, narzucającym się od razu przy zaznajamianiu się z utworem grafomańskim — jest jego szata stylistyczna. Skiweki wspomina o „zwrotach gładkich jak kula bilaradowa a ekliwych jak lukrecja”. Istotnie styl tych utworów uderza zawsze znaczną łatwością i potocznością, ale w większej jeszcze mierze — brakiem indywidualnego piętna. Będą tu najbardziej oklepane porównania i przenośnie, zanalizowane od dawna nastroje, niejednokrotnie przejęta cudza maniera — czyli cały zespół środków stylistycznych. Wystarczy zacytować jedno nazwisko — Żeromskiego — by przypomnieć, jak dalece zaważył urokami swego talentu nad początkującymi pisarzami. Ironia losu sprawiła, że najzacieklejszy przeciwnik snobizmu w życiu literackim stał się jego zaczynem na długie lata.

W sumie stwierdzić można, że jest to zawsze typowy werbalizm, przerost słów nad treścią, pozostający w rażącej dysproporcji z bladością wątku. Niezaprzeczenie źródłem tego stanu jest owa łatwość wyrażania myśli, wywodząca się z uzdolnień stylistycznych. Nie są one wszakże dostateczną ani nieodzowną kwalifikacją na pisarza. Wiemy, że wielcy twórcy niejednokrotnie byli złymi stylistami (Norwid), lub też ludźmi pracującymi w niesłychanym wysiłku nad formą wypowiedzi. Natomiast łatwość ta wpływa w znacznym stopniu na zanik autokrytycyzmu, który jest tak ciekawą ce-

chą psychiki pisarskiej. Nie można go przypisywać wyłącznie grafomanom: obarcza niejednokrotnie wybitnych pisarzy. Przypomnę, że Mickiewicz nie doceniał własnej twórczości na rzecz — Garczyńskiego, B. Zaleski sądził, że tworzy arcydzieła. Wiemy także z potocznej obserwacji, że rynek wydawniczy wzbogacają pozycjami grafomańskimi jednostki mające niejednokrotnie trafny sąd o cudzych dziełach, co więcej — pracujące owocnie w odpowiedzialnych zawodach inteligentnych. To też trzeba przyznać, że oba momenty: brak krytycyzmu i łatwość wypowiedzi idącej po linii najmniejszego oporu wspomagają się wzajemnie przy narodzinach utworu grafomańskiego.

A teraz parę słów o stronie społecznej zagadnienia: mianowicie o recepcji grafomanii. Niezaprzeczenie bowiem pisarz produkuje zawsze z myślą o czytelniku, jest to *implicite* zawarte w samym fakcie publikowania dzieła. Zdaje się, że tu właśnie można stwierdzić zjawisko dość nieoczekiwane. Konsumcja na tym odcinku przedstawia się wcale pokąźnie. Nazwiska Mniszkówny, Staški, Łuczyńskiej, Zarzyckiej cieszą się dużą popularnością na niskim stopniu wyrobienia czytelniczego, albowiem zaspokajają całkowicie potrzeby intelektualne tych ludzi, prymitywny głód wrażeń, nie rażąc przy tym ich zmysłu artystycznego. Zbyt szczupłe posiadamy w tej chwili dane statystyczne, uzyskane na podstawie racjonalnie prowadzonej statystyki czytelnictwa i ruchu wydawniczego, by móc te spostrzeżenia poprzeć argumentami licznymi, niemniej przeto jest to fakt nie ulegający wątpliwości. Trzeba tu wszakże przeprowa-

dzić pewne zróżnicowanie: oto są okazy grafomanii, które są poza nawiasem tej popularności. Gatunek ten najlepiej ujmie nazwa „grafomanii wytwornej”. Określenie moje dotyczy przede wszystkim eposu ujęcia. Rozumiem przez to tak charakterystyczne dla niektórych grafomanów dążenie do pogłębienia psychologicznego wątków błałych, w rezultacie dające potop słów wytwornych, kryjących nicość treści. Takie dwa stopnie poczytności dadzą się ustalić przy stosowaniu kryteriów czytelników, odnoszących się do grafomanii serio. Poza tym warto wspomnieć też o tych użytkownikach, którzy, wartościując ją jako taką, sięgają do poszczególnych jej pozycji jako do lektury rozrywkowo-wypoczynkowej: letniskowej, rekonwalescencyjnej i t. p. Calkiem osobno trzeba postawić tych spośród nich, którzy, idąc za Magdaleną Samozwaniem, potrafią transponować — na parodię ku własnej uciecsze.

Ale wracając do stwierdzonej powyżej wziętości jednego odłamu grafomanii, można spytać, czy wobec tego nie należy jej przyznać znamion użyteczności publicznej i wartościować z tego punktu widzenia. Postaram się poniżej na to odpowiedzieć, analizując stosunek funkcjonalny między grafomania a poziomem czytelnictwa. Nie wymaga dowodzenia fakt, iż poziom ten ulega zmianom, zależnie od ogólnego rozwoju intelektualnego danej jednostki. Uczeń gimnazjalny uważa *Pamiętniki* Paska za nudną lekturę obowiązującą, natomiast czytelnik mający trochę wyrobienia historycznego rozkoszuje się pełnią obyczajowości i bezpośredniością tej narracji. Rozszerzenie horyzontu czytelniczego może nastąpić skutkiem

impulsów tkwiących poza książką lub też właśnie w niej. Otóż stwierdzić trzeba, że to, co określiłam powyżej jako grafomanie, nie posiada tych cennych bodźców dynamicznych. Łatwość przywyożenia, płytkość ideowa nie potrafią zmusić czytelnika do jakiegos wysiłku duchowego, który by rozszerzył skalę zainteresowań, w sumie zaś — pałą gust. Ale nie byłoby tu jeszcze niebezpieczeństwa, gdyby grafomanie traktowano tylko jako lekturę rozrywkową obok pozycji wartościowych. Zbyt często stanowi ona wszakże ten poziom, poza który czytelnik się nie wychyla — bez obcej ingerencji.

Mam tu na myśli akcję bibliotekarstwa powszechnego, zmierzającą do podnoszenia poziomu czytelnictwa. Odbywa się ona na drodze podsuwania czytelnikowi książki coraz to wartościowej. Umiejętnie opracowane poradniki (np. *Książka w bibliotece*, 1934) stosują przemyślane stopniowanie, wyłączając poza nawias cały szereg pozycji grafomańskich, bardzo poczytnych. W praktyce są one tolerowane jedynie w pierwotnych etapach obcowania z czytelnikiem jako książki zastępcze — wobec braku innych. Dobrze by było, gdyby to wartościowanie ściśle biblioteczne szło w parze z osądami krytyki literackiej. Tymczasem zdaje się, że się krytyka za mało tym zajmuje. Pozycje *par excellence* grafomańskie są poniżej jej progów. Co więcej — stanowczo przeszyły zbyt wielkim optymizmem przy ocenie twórczości, zwłaszcza początkujących autorów. Skiweki stawia jako postulat: maximum pobłażliwości i zachęty wobec młodych w nadziei, że po pierwszym słabym utworze może nastąpić o wiele lepszy; surowe oceny — uznaniem wielkościom. Jest w tym stanowisku trochę momentów słusznych i tyleż nieuzasadnionych. Umotywowanie jego spoczywa w przeświadczeniu, iż pisarz ulega dodatniej i to bardzo znacznej ewolucji — na co istotnie da się przytoczyć sporo przykładów. Obiektywne rozejście się przekonywa wszakże, że, u nas zwłaszcza, bardzo wiele jest przykładów rozwoju *à rebours*, i kto wie, czy to nie są zawody sprawiane — czytelnikom przez zbyt pobłażliwą krytykę, przeceniającą pierwsze występy skutkiem tego dydaktycznego założenia. Ponadto tak sformułowane stanowisko krytyki zakłada jej dość znaczny wpływ na urabianie autora. Sprawy tej nie można generalizować. Niezaprzeczenie nie potrafi krytyka wpłynąć na przyrost uzdolnień w tym stopniu, by przerobić grafomana na utalentowanego pi-

Z A T O K A W P A L E R M O

*Sycylijskie wieczory pachną owocami,
zasypia pod palmami znużone Palermo.
I księżyc jak bolesne na żrenicy bielmo
srebrzy ciemną zatokę zachodzącą mgłami.*

*Śródziemnomorskie fale, zwaly wód olbrzymie,
odpadają od brzegów jak dzwony strzaskane,
zostawiając, prócz dźwięków nikłych, tylko pianę
gorzką jak myśli twoje, bezsenny pielgrzymie.*

MARIAN PIECHAŁ

Fantoma nie odpowiedział. Tknięty pewną myślą, nerwowo odryglował zamek karabinu i zajrzał do komory nabojojowej; była pusta — nabój, który w niej tkwił przed dwiema godzinami, gdzieś zniknął.

Nagle wartownicy Fantomie wszystko wydało się zrozumiałe. — Panie poruczniku! — krzyknął za odalającym się ku Bia Togary oficerem — kapitan Kiralyi przechodził tędy! Na pewno przechodził! Pół godziny temu!

Wyjął nabój z ładownicy, wsunął go do komory nabojojowej i zaryglował zamek. Przerzuciwszy karabin przez ramię, spojrzął w stronę garnizonu; tam, na gościńcu, między drzewami poruszały się jakieś cienie — zbliżała się zmiana warty.

*

Wartownicy, nie czekając na powrót trzeciej zmiany, ułożyli się pokotem na tapczanach i zasnęli. Dowódca warty, kapral Kordas, siedział przy stole i sennym wzrokiem patrzył przez otwarte okno na pusty, oświetlony księżycem plac przed dowództwem pułku. Tyle razy pełnił służbę wartowniczą i tak często przeziadywał na wartowni, że już zatracił poczucie ważności i odpowiedzialności swojego stanowiska. Tu bowiem nic nadzwyczajnego nie mogło się dziać. Oficer inspekcyjny był o godzinie jedenastej i poszedł. Aresztanci spali w celach zamkniętych na dwa spusty. Słychać było oddechy śpiących wartowników, nudne bzykanie komarów i jednostajne hałasowanie rozluźnionych epreżyn w etaram budziku — dochodziła dwunasta. Kordasowi chciało się spać, postanowił jednak zaczekać parę minut — wiedział, że za chwilę wartownicy wrócą z posterunków, złożą karabiny na stojakach, zapalą papierosa, pomamroczą, pohłasują trochę i, zmorzony snem, zaczną „czuć” w pozycjach siedzących wokół stołu — znów cicho się zrobi, budzik będzie tykotał raz głośno, raz szeptem, księżyc zacznie uragać osmolonej lampie naftowej, co kopci pod sufitem.

Znużony oczekiwaniem wartowników, sięgnął po książkę wartowniczą. Znal ją na pamięć. Oto ostatnia stronica z datą dnia dzisiejszego. U góry nazwiska: oficera inspekcyjnego, dowódcy warty i rozprawdzającego. Poniżej nazwiska aresztantów, a przy każdym nazwisku rodzaj kary i data jej rozpoczęcia. Dalej spis inwentarza: dwa tapczany, dwie ławki, stół, stojak na karabiny, lampka, klucze od cel aresztanckich i t. p. — to

wszystko co było przed dziesięciu miesiącami, było i teraz, nic nie brakowało. Następnie posterunki: I) Dowództwo pułku, II) Brama główna, III) Działownia... ostatni: magazyny uprzęży. Przy każdym posterunku nazwiska trzech wartowników — w ostatniej trójce: Pal, Ferenkoczy, Fantoma. Wreszcie coś interesującego: „ważne zajścia podczas służby wartowniczej”. Kapral Kordas zaczął odwracać kartki wstecz i z coraz większym niezadowolaniem czytać: Bez zajść! Bez zajść! Bez zajść! — tak aż do pierwszej stronicy, na której również było nieodzowne: Bez zajść! I prawdopodobnie, od początku do końca istnienia garnizonu Bia Togary, na każdej stronicy książki wartowniczej było i będzie pisane: Bez zajść! — z gniewnym i jakby domagającym się sensacji wykrzyknikiem.

Więc, żeby jutro przy zmianie warty nie myśleć o tej drobnostce, kapral Kordas wyjął olówek i również w odpowiedniej rubryce zaznaczył gniewnie: Bez zajść!

Przed tym nim zamknął książkę, spojrzął na następną stronicę, by się dowiedzieć, który oficer będzie jutro pełnił służbę inspekcyjną. Z pewnym zdziwieniem odczytał „Kapitan Kiralyi”. „Ach tak — przypomniał sobie — to jest ten, który onegdaj przybył do pułku”. O nim to właśnie wczoraj opowiadało tajemniczo w piątą baterii. Podobno kapitan Kiralyi zastrzelił góralkę w Karpatach. Miało się to stać podczas manewrow wiosennych w Strbnicach. Kobieta, rozżalona szkądą wyrządzoną jej przez żołnierzy płaćtujących po wsi, udala się ze skargą do dowódcy pułku. Nie uzyskawszy wynagrodzenia, wyszła w pole i jęła obelżywie pomstować na wojsko, na oficerów, na cesarza, a zwłaszcza na zniechęconych Węgrów. Obecny przy tym kapitan Kiralyi, nie namyślając się długo, strzelił do niej z pistoletu, raniąc ją śmiertelnie. Tyle kapral Kordas wiedział o kapitanie Kiralyi, sam nie miał jeszcze sposobności zetknąć się z nim na drodze służbowej i nie życzył sobie tego. „Jak to dobrze — pomyślał — że jutro nie mam służby wartowniczej”.

Zamknął książkę, podparł głowę dłońmi i zmęczonym wzrokiem wpatrzył się w otynkowany poświatą gmach dowództwa pułku. Było mu duszno, więc rozpiął kołnierz, przy czym stwierdził, że dłonie i szyja były wilgotne od potu. Wartownicy oddychali ciężko, co chwilę któryś z nich mamrotał coś przez sen lub przewracał się na tapczanie, jak gdyby nie był przyzwyczajony do leżenia na go-

łych deskach — burza pęczniała w Bia Togary, rosła tajemnie, nabrzmiwała siłą, potrzebna do zerwania krępujących ją więzów.

Kordas przykniął oczy. Był pewny, że wkrótce wartownicy wrócą z posterunków, ciężkie ich buty zadudnią na ganku i zbudzą go z drzemki.

W zdarzeniu, jakie zaszło w następnych minutach, on, jako dowódca warty, odegrał rolę bardzo znikomą, ograniczającą się do wypowiedzenia jednego słowa „Strzelaj!” Zresztą, słowo to wypowiedział whrew własnej woli, tak jak gdyby to wszystko, co się działo w ciągu trzech minut na wartowni, było marzeniem sennym, za które on przecież w pewnym sensie nie mógł być odpowiedzialny.

W pewnej chwili otworzył oczy, spojrzął poza siebie i zerwał się na równe nogi.

Pośrodku wartowni stał kapitan Kiralyi. Małe jego nogi, obute w sztylpy, rozstawione były szeroko, ręce założone w tył, górna część ciała pochylona do przodu, czapka nasunięta zawadyjako na prawe oko, wąsy nastrożone i przekreślające ukośnie policzki wydatę i upstrzone piegami.

Stał tak przez parę sekund i milczał — prawe oko skryło się pod daszek czapki, wtekąc czegoś lewe nabrało złowrogo wyrazu. Nim kapral Kordas zdołał się odezwać, Kiralyi tajemniczo przyłożył palec do ust:

— Pssst...

Mimo to wartownicy zaczęli budzić — pojedynczo, po dwóch dźwigali się z tapczanów i cicho odchodzili w kąt wartowni. Równocześnie na ganku zadudniły artyleryjskie buty — w drzwiach ukazał się bombardier, za nim wartownicy z karabinami niedbale przewieszonymi przez ramię.

Kapitan Kiralyi postąpił krok wprzód. — Halo, kanonier! — zawołał, wskazując palcem na Fantomę — Stać! Stać w miejscu! Reszta na bok! Tam!

Powstał rumor, wartownicy stłoczyli się w ciasną grupę w kącie wartowni — kapral Kordas odruchowo przyłączył się do nich — przy drzwiach pozostał tylko Fantoma z karabinem u nogi.

Wreszcie szurganie butów ustalo, szepty ucichły. Kapitan Kiralyi cofnął się pod ścianę.

— Tak. A teraz, wy kanonier — rzekł, patrząc jednym okiem na Fantomę — strzelajcie do mnie! Kanonier zrozumiał co mówił! — krzyknął nadszpedzowanie głośno — Strzelajcie do mnie!

Zdumione spojrzenia wartowników, kaprala i Fantomy zaczęły się krzyżować, ozwalały się szepty urywane, lekliwe — twarz kapitana nabrzmiwała krwią, górna warga urosła się, odsłaniając drapieżne w swej białości zęby.

— No, co do diabła! — wybuchnął nagle — Zrozumiano co mówię: strzelać do mnie! Prosto w czoło! Co!? Stulić pysk! Ani słowa! O nic się nie pytam! Kapral! Dlaczego kanonier nie wykonywa rozkazu!? Ja was, durnie, nauczę...

Wprawny ruchem wyrwał pistolet z futerału — metaliczny połysk zamigotał w powietrzu, czarny otwór lufy zadrgał na wprost twarzy dowódcy warty. Filigranowe nogi kapitana zaczęły tratować podłogę, nabrzmiwała twarz zdawała się rozsnąć do potwornych rozmiarów, bryzgać krwią i śliną.

— Ja was, durnie, nauczę wykonywać rozkazy! — wrzasnął piskliwie — Strzelać! Strzelać prosto w czoło! Bo was obu zakatrupię! Was diabli... Liczę do trzech! R a z!

Czarny otwór lufy drgał wycelowany w twarz Fantomy patrzącego tępym wzrokiem w dowódcę warty — kolba karabinu oderwała się od podłogi i zatrzymała na wysokości kolan. Kiralyi krztusił się, bryzgał śliną, ciało jego dygotało, wąsy, policzki, zęby i oczy wyskoczyły jakby ze swoich miejsc, tworząc patrokata i drgającą miążgę. I wtenczas kapral Kordas krzyknął:

— Strzelaj!

Kolba natychmiast przylgnęła do prawego policzka Fantomy.

— Dwa! Ani słowa! Pysk zamkn... Gdzie, gdzie, durniu! W czoło powiedziałem! Tak! strzelaj, ho...

Gruchnęło.

Ręce kapitana Kiralyi zatrzępotwały — pistolet spadł na podłogę. Bezbarwna z początku plama na czole zaczęła gwałtownie czerwieńnić, cieknąć krwią i zalewać oko wyzierające z pod daszka czapki — oko szeroko rozwarło, pełne czerwonego zdumienia. Nogi załamały się w kolanach, ciało kapitana Kiralyi osunęło się po ścianie i bezwładnie zważyło na podłogę.

Fantoma opuścił karabin do nogi i spojrzął w kąt wartowni, gdzie w złitej gromadzie stali kanonierzy z kapralem Kordasem na czele. Nikt się tam nie ruszał — milczano. Wreszcie zabalutł tam czyszy głos, stłumiony i drżący, jak gdyby się dobywał z gardła człowieka duszonego:

— I — dio — ta!

sarza. Potrafi czasem (a powinna by to czynić zawsze) ująć istotę uzdolnionej danego autora i wskazać mu najwłaściwszą drogę. Czy może zniechęcić? Na to zwykło się odpowiadać, wymieniając Fredrę. Istota rzeczy nie jest tu tak całkiem jasna. Fredro nie przestał tworzyć, zaprzestał jedynie ogłaszać. Brak kontaktu ze sceną wpłynął niewątpliwie ujemnie na jego twórczość. Ale możliwe, iż zaważyło tu osobiste jego poczucie, że już swój zenit osiągnął. Grubo więcej da się przytoczyć przykładów, gdy ostra, niezyczliwa krytyka nie powstrzymała pisarza w jego rozwoju, wręcz przeciwnie — była mu bodźcem. Bodajże wolno ustalić, iż siła witalna talentu (grafoman go nie posiada) nie potknęła się o pierwszą ocenę, a ostrą ocenę. Dlatego też raczej należy dążyć do ostrożniejszego udzielenia zachęty — a to przede wszystkim ze względu na specyficzną łatwość rozszerzania się pewnego typu grafomanii.

Krytyka powinna dążyć przede wszystkim do urabiania opinii rynku księgarskiego i czytelników, co jest tym konieczniejsza, że umiejętność czytania rodzi zapotrzebowanie lektury — bez możliwości odpowiedniej selekcji. I tu spoczywa istotna różnica między recepcją grafomanii a partactwa na innych polach sztuki, że tu wymienię przykładowo muzykę i plastykę. Odbiorcy tych dziedzin są bardziej jednolitego, wyższego poziomu, bo tworzą tych sztuk: dźwięk, barwa, kształt wymagają pewnego już wyrobienia estetycznego.

Dlatego też uwagi powyższe pragnę zakończyć stwierdzeniem, iż zależność między jakością spożycia czytelniczego a uzyskiwanym tą drogą ogólnym poziomem kulturalnym nakazuje grafomanię traktować jako sprawę nie tak całkiem błahą, by przyszła ustawa o sieci bibliotecznej, wzmagając ruch wydawniczy, nie wpłynęła na niepożądany jej wzrost.

POWIEŚĆ

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Czerwone maki*. Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Czerwone maki Szpotańskiego należą do tych powieści, które chętnie kupują ziemianie albo ludzie w starszym wieku, wyjeżdżając na letnisko. Autor ma czas, musi mieć czas i czytelnik, książka bowiem jest gruba, szczegółowo opisuje życie przedwojenne szlachty, nie zawiera żadnych „nowinek” ani filozoficznych, ani literackich. Za to bardzo dokładnie zajmuje się kupnem i sprzedażą koni, wzajemnymi awersjami panów-szlachty, zjazdami ziemian w Warszawie i t. d. Porusza też dyskretnie sprawę powstania, wprawdzie wszyscy lojalnie ugięli głowy i współdziałali w walkach, ale w głębi duszy chowają dumę „prawdziwych” patriotów.

Oczywiście na zakończenie powieści jest dwie pary zaręczyn i ślub „taki nasz”, z oberkiem, chłopstwem za oknami izby i werwą wianą w zgrupowanych wraz z beczkami wina i piwa. To jest i po chrześcijańsku i z korzyścią dla autora, bo przecież każdy woli wiedzieć, że wszystko kończy się „dobrze” i że ojczyźnie przybędzie nowych obywateli.

Trudno byłoby ocenić *Czerwone maki* w inny, mniej „szlachecki” a bardziej krytyczny sposób. Trudno dlatego, że autor należał do innej epoki, że jego możliwości literackie rozwijały się tylko w kierunku rozwickłych opowiadań obyczajowych, że wreszcie — nie posiadał zdolności dramatycznego i ciekawego wiązania akcji.

Książka jego wyszła z pewnością zbyt późno, należy bowiem do tej serii powieści, które w końcu XIX wieku wyrosły z przeobrażenia na „domowy użytek” filozofii pozytywizmu i pojmowały realizm jako dokładność zbyt wielu szczegółów, nie dających się w końcu artystycznie skomponować.

CHRISTA WINSLOE: *Dziewczęta w mundurkach*. Powieść. Warszawa (1936). Książka Popularna.

Często się słyszy narzekania na to, że ilość przekładów przewyższa produkcję krajową, że czytelnicy chętniej sięgają po literaturę obcą niż polską. Nie trudno to zrozumieć, ponieważ najczęstszym motywem tłumaczenia jest sensacja. Może to być sensacja fabuły, sensacja głośnego nazwiska, sensacja skandalu literackiego. Powstaje ona czasem jako oddźwięk hałasu z zagranicy, lub też jest miejscowym narzędziem reklamy.

Podobną drogą, poprzedzoną oklaskami widzów teatralnych i kinowych, przybyła powieść Christy Winsloe *Dziewczęta w mundurkach*, powieść niewątpliwie zupełnie przeciętna, zaprawiona z lekką drastycznym posmakiem miłości Manuela do nauczycielki. To i melodramatyzm wielu scen, a zwłaszcza zakończenia, kiedy serce Manuela już nie bije i panna von Bernburg zostaje wreszcie sama ze swą uczennicą, wywołuje łatwe i łzawe wzruszenia. Wzruszenia bynajmniej nie z dziedziny doznań estetycznych, lecz te, któ-

rym wystarczy skandal sąsiedzki, proces sądowy i artykuł „Wyrodna matka zadusiła dziecko”.

Fabuły tego typu są dość zdradliwe, bo chociaż pociągają czytelnika, łatwo reklamując nazwisko autora, — odwracają uwagę od wartości artystycznych utworu. Powieść nie jest oceniana jako dobra lub zła, lecz jako ciekawa czy nudna. Przewyciężyć tę sugestię jest tym trudniej, im bardziej autor sam ulegał tematowi. To niebezpieczne ustępstwo na rzecz sensacji wyraźnie występuje w omawianej powieści. O ile początkowo autorka panuje nad fabułą, pogłębiając psychologię Manuela i charakteryzując dość subtelnie wpływy środowiska — później zatracą się w efektach. Do nich należy łatwy kontrastowy motyw dwuznacznego flirtu ojca Manuela z dziewczynką w wieku jego córki, tutaj mieści się „wzruszający” podarunek koszuli p. Bernburg i t. p. Tyrania bezlitosnych, starych nauczycielek, egzaltowane serduszek pięknego dziewczęcia — to zestawienie ileż nastrocza okazji do efektownych scen! Czy jednak, jeżeli nawet czytelnik konieczne pragnie tych efektów — nie wystarczy literatura krajoznawcza i czy nie mają racji ci, którzy nawołują do ściślejszej kontroli pieniędzy wydawanych na przekłady?

EWA KORZENIEWSKA

*

TREĐOWATA POD RÓWNIKIEM

FRANCIS DE CROISSET: *Pani z Malakki*. Tłumaczyła Maria Wańkiewiczowa. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

Bywają tematy nieśmiertelne, a do takich należy historia osoby młodej, zawsze pełnej urody i wdzięku, obdarzonej wogóle dużą ilością cnót i jedną tylko wadą: brakimi tak potrzebnych w życiu pieniędzy. Pokazawszy najpierw, jak żyje taka wydziedziczona w swoim własnym, skromnym środowisku, przenosi się ją później w zgoła odmienne warunki, otacza przepychem zawrotnym i na pozór niedostępnym, by potem wraz z dłońmi i sercem pięknego młodzianałożyć w jej drobnych, — koniecznie drobnych stóp — bogactwa wszelkie i zaszczyty.

Takie jest przecie założenie wielu bajek o kopcuszkę i królewicz, z tego ducha wyrosła *Tređowata* Heleny Mniszek, i do tej samej skarbnicy sięgnął Francis de Croisset, pisząc swoją *Panią z Malakki*.

Audrey Greenwood po śmierci rodziców osamotniona zupełnie, dzięki pomocy zacnej przyjaciółki, pani Turpin, została nauczycielką w Calais. Piękna, dumna, pełna silnej woli przedła wytrwale szarą swoją egzystencję, aż w chwili duchowego załamania zgodziła się wyjść za mąż za znajomego z lat dziecińczych, Herberta Cartera, lekarza wojskowego, który właśnie otrzymał przydział do kolonii angielskich gdzieś we wschodnich Indiach.

Carter wcale umiejętnie przedstawiony został jako snob o ciasnych poglądach, egoista i karierowicz, zmysłowy a równocześnie pozbawiony męskiego uroku. Audrey od początku poczuła się z nim głęboko nieszczęśliwą, lecz pełne zrozumienie tragedii małżeńskiej spadło wówczas dopiero, gdy poznała swego księcia z bajki, ordynata Michorowskiego epod równika, słowem sultana Selima, księcia Udajgoru.

Ten rzekomo w prostej linii potomek Aleksandra Macedońskiego, przystojny, o fascynującym wejściu płomiennych oczu, o wschodnim temperamentem, a duszy gentlemana, — rozgorzał afektem tak gorącym, że nie powstydzili się go bohater Mniszkówny, i — tak jak jego polski pierwowzór — wytwornymi holdami począł zabiegać o względy swej bogdaniki.

Pałace pełne orientального przepychu, zaścępy niewolników, — wszystko było do dyspozycji Audrey, że zaś Indie dzisiejsze bardziej są widać cywilizowane niżli kresy przedwojenne, — więc zamiast koni arabskich nosiły ją łodzie motorowe, auta i hydroplany. Na życzenie księcia stało się nawet coś, co graniczy z cudem, bowiem tajemniczy kang-wah, kwiat, który się rozwija tylko dwa razy do roku, i to zawsze o północy, a widnieć o wschodzie słońca, — zakwitł w samą porę, by połączyć dwoje spragnionych ust.

Dla analogii z *Tređowatą* potrzebne było jednak koniecznie bezmyślne a zaciekle przesławowanie czulej kochanki, i oto roli ary-stokracji rodowej, która wpędziła do grobu Stefcię Rudecką, podejmuje się tu miejscowa kolonia angielska. Wgnana hanielnie z posiadzenia dobroczynnego w pałacu gubernatora, biedna Audrey dostaje zapalenia mózgu, lecz na szczęście nie umiera, gdyż ratuje ją poświęcenie sultana. Mówię „na szczęście” — teraz dopiero bowiem zaczyna się najlepsza część książki.

Atmosfera staje się tak znajomą, tak po prostu swojską, że poddaje się jej nie tylko czytelnik. Tłumaczka, dotychczas konse-

kwentnie pisząca o bohaterkach „pani Carter”, „pani Wilford”, zaczyna uparcie polonizować nazwiska angielskie i już aż do samego końca prawie czytamy „pani Carterowa”, „pani Wilfordowa”. Audrey leży w szpitalu, a wokół niej kłębią się intrygi szatańskie. Ha, jakżeż się okrutnie mści za cierpienia niewinnej kobiety kolorowy książę! Zaniedbuje sprawy państwowe, traci miliony, naraża nieomal pokój świata, hyleć móg wprowadzić na tron praojców tę, którą tak namiećnie pokochał. Wreszcie na stronie 285 „Orkiestra zaatakowała: *God save the King*” i na skroniach Audrey legła korona Udajgoru.

Pozostało tylko jeszcze porachować się z bandą „kobiet-żmii”, jak je malowniczo określa autor, że zaś cała nasza sympatia jest niewątpliwie po stronie młodej sultanki, zatem z przyjemnością bierzemy udział w galowym przyjęciu w pałacu gubernatora i cieszymy się szczerze, gdy na finishu lady Brandmore, nie mogąc znieść tego, co nazywa afrontem, a co autor uważa jedynie za słusne zadośćuczynienie, mdleje ze złości. Tymczasem zaś hydroplan książęcy odwozi „drżących z pragnień i tęsknoty kochanków” do pałacu z bajki, a duszna noc podzwrotnikowa zakrywa przed naszymi oczyma ich dalsze losy.

Wertując grubo tom zastanawiałem się parokrotnie, czy autor brał poważnie ten cały melodramat. Mam wrażenie, że pod koniec widząc, jak rozmyślnie czy też mimo woli zahaczył o groteskę, — zaczął się bawić na równi z nami, z chwilą zaś, gdy porzucając frazesy górnotłone, filuternie zmrużywszy jedno oko, plecie nie tyle z sensem, co z humorem, — staje się prawie miły, prawie interesujący. Podróż napowietrzna pani Turpin z Calais do Rahajangu oraz niektóre refleksje gubernatora o własnej polowicy są zaprawione docięciem francuskim przedniego niemal gatunku.

JERZY MARLICZ

KSIĄŻKI O POLSCE

ROSA BAILLY: *Au coeur de la Pologne*. Petites Villes. Châteaux. Campagnes. Paris 1936. Editions des Amis de la Pologne.

Sercem Polski zajmuje się tu dobre serce Francuzki; dobre i rozumne — bezstronne, choć pełne życzliwości — krytyczne, acz wyrażające uznanie; czasem słuszenie ironiczne, często głęboko wzruszone.

Pani Rosa Bailly... Któż o niej w Polsce nie wie? Wszak to założycielka „Towarzystwa Przyjaciół Polski” w Paryżu, wszak to głowa czynnych entuzjastów tej idei w całej Francji, to wytrwała prądką coraz silniejszych nici wzajemnej obu krajów współczesnej sympatii!

Przy tym zdolna pisarka i poetka, znawczyni sztuki (o jej zamilowaniu do baroku świadczyć może dedykacja książki), doświadczona turystka, która po przemierzeniu Alp i Pirenejów, opiewanych w paru tomikach wydanych już lub do druku przygotowanych, śmiało wybiera się na szczyty wschodnich Karpat, a co najbardziej oszałamiające, odbyła „furką” 72 klm. drogi z Zabia do Burkutu i z powrotem. („Drogom i dworcem polskim” poświęca autorka pierwszy rozdział swej książki). I mimo nieprzeczuwanych trudów wyprawy, którą sama uważa za najbardziej niezwykłą w swym życiu, jest oczarowana tym zakątkiem: chciała, przez chwilę, widzieć w nim rychło ziścić się mające Davos lub St. Moritz, ale po rozwadze, doradza pozostawienie go w stanie pierwotności i niedostępności, by służył za schron marzycielom, dla których brak już na ziemi cichych samotni.

Serce Polski dla p. Bailly to nie stolice i centra, które poznała w poprzednich swych podrózkach, ale mało dostępne, rzadko pokazywane cudzoziemcom i nie zanadto dobrze znane swoim płomym kresów południowo-wschodnich, a więc szaro-brunatne z pejzażu i biedy Polesie, bujne Podole, barwne Pokucie; dalej miejsca cudowne (Częstochowa, Leżajsk), ruiny i pamiątki dawnych i ostatnich wojen: Żółkiew, Zbaraż, Tarnopol, Trembowla, Skala, trzy razy odbudowywane Zaleszczyki, Okopy św. Trójcy. Przy Zbarażu mała notatka, jakże wymowna w swej treści: „Kościół tutejszy, wzniesiony w 1627, zniszczony przez Tatarów, Kozaków i Turków w 1648 i 1675, odbudowany w 1755, spalony w 1789!” Precyzyjnych wiadomości historycznych zawiera książka p. B. sporo; dowodzą one prawdziwego uświadomienia Francuzki w zakresie naszych dziejów.

Interesują p. Bailly pustelnie (Czerwonogród), grotty (Złote Bileze), krypty z trumnami sławnych rodzin (fredrowskie Rudki, gdzie spędza dłuższe chwile rozmyślań przy widocznych, świetnie zabalsamowanych

zwłokach Aleksandra ojca i syna). Dociera i na północ, do Augustowa, zaproszona i wspaniale goszczona przez „Tow. Przyjaciół Rosy Bailly”, które postanawia ofiarować jej tam... wille; poznaje Tarnopol, gdzie odkrywa w ogrodzie publicznym osobliwość: pomnik-kamień postawiony przez Austriaków Wilhelmowi II, na którym, szczęśliwie, odbito dedykację w języku niemieckim, a wyrtyto natomiast francuskie słowa głoszące, że 16 lipca 1919 roku strzelcy polscy pod wodzą generała de Champeaux (oczywiście Francuza) ostatecznie oddali ojczyźnie nieszczęsne to miasto.

W sercu Polski, w Lublinie, w tylu innych miastach i miasteczkach, ba w Częstochowie u stóp Jasnej Góry, kłębi się w brudzie, zaduchu i specyficznym rwetesie ludność żydowska, prowadząc swój handel (nawet dewocjonaliami!) i interesy. Przeróża ten obraz p. Bailly tak samo jak innych cudzoziemców — ale kobieta potrafi go jeszcze porównać ze schludnymi domkami i zagrodami chrześcijan i wyrazić uznanie ludziom równie jak tamci biednym, a mającym jednak pragnienie ładu i czystości.

Sercem Polski są jej mieszkańcy; styka się z nimi autorka w różnych sferach: jest gościem magnackich pałaców pełnych dzieł sztuki i stylowych mebli, poznaje władze miast, wojskowych, nauczycieli, bywa w leśniczówkach, wstępuje do zajazdów; odwiedza nawet i podziwia za subtelność i kulturę karaimów epod Halicza. Wszędzie spotyka tę gościnność, życzliwość i dobrą radę, których się często cudzoziemcy w Polsce nachwalić nie mogą. A polskie życie towarzyskie! Czy długie kilkudniowe wizyty wiejskie, pełne zabaw, rozrywek i swobody (czuje się tu niedopowiedziany aforyzm o nadmiarze czasu na polskiej wsi...), czy skromne herbatki u ludzi małych, czy miłe przyjęcia, oficjalne a przecież prawdziwie serdeczne, wszystko ma swój niezapomniany urok i wdzięk. A polski poliglotyzm, a... polska kuchnia!

Serce Polski to jej gospodarstwo rolne i leśne; obserwowała je p. Bailly często: i w stanie wysokiej kultury i prowadzone po... piastowsku. To osobliwości polskiego pejzażu i klimatu, które opisuje wielokrotnie: i góry i jary, i wyżyny i płaszczyny, i jasność wód i magię błot, i cudowne poranki i gwiazdziste noce, i potworne ulewy i tragiczną suchą burzę, która pewnego wrześniowego rana zniszczyła w Przeworsku kawał wiekowego parku, a równocześnie, na granicy polsko-czeskiej strzaskala samolot Żwirki i Wigury...

Tyle serca... ale jest w tej sympatycznej książce coś bez serca: ilustracje! — wybrane dobrze, choć nieco jednostronne; za dużo w nich Polesia (jakiś 10 widoków), gdy „Huculów” np. pokazuje tylko jedną fotografię i to... z filmu! Strona techniczna odbitek szwankuje; rozmiary rycin w stosunku do tematu za nikle, papier niedobry. Przy tym, tradycyjnym już w książkach ilustrowanych obyczajem, rozmieszczono je w niezgodzie z tekstem. Przy opisie pałacu Skirmuntów w Mołodowie (Polesie) oglądamy jezioro Augustowskie, gdy mowa o Śląsku — Ojczoku, przy grobach Fredrów (Rudki pod Lwowem) — kościół Jezuitów w Pińsku, obok Borysławia, obok Huculów znów Polesie! A szkiełkowa mapa zamykająca książkę, znacząca tylko te punkty, o których mówi treść pracy p. Bailly, nie daje jakiegokolwiek pojęcia o proporcjach miast i miasteczek polskich. „Czenstochowa” i Czerwonogród, „Cracovia”, „Léopol” i Kazimierz określono tej samej wielkości kółkami i napisano takimi samymi literami.

Ale są to szczegóły ku zmartwieniu pesymisty. Optymista powie: „nic nie szkodzi! Francuzi będą więcej czytali niż oglądali”; ale czym pocieszyć rzędę? Czy może tym, że p. Bailly, która opanowała dawno język polski (komentuje przecież Francuzom naszych poetów!) i doskonale sfonetyzowała Pchéméchl, Pchévorsk, Tchouvaï i Hout-eouls; gorzej powiodła się jej korekta pi-sowni Lackoroncki, Horodyczy i „złoty piesien”), nie zdołała dotąd namówić wydawców publikacji o Polsce (*Editions des Amis de la Pologne*, 16, rue de l'Abbé-de-l'Épée, Paris 5e), by postarali się o czcionki dla przedstawienia naszych odrębności głoskowych? Bo wygląd cytaty „Jeszcze Polska nie zginęła Półki mij zjemy”, w rzekomo wiernej postaci, nikogo nie uraduje.

Tyle zgryźliwiec, lecz książka, a właściwie zbiór felietonów p. Bailly pójdzie w świat i perpetuować będzie misję swej autorki, jako rzecz oryginalna przez dobór tematów, piękna w języku i stylu, prawdziwie serdeczna w słowach sympatii, przyjaźni i nieblahej dla nas nadziei; p. Bailly bowiem zapewnia stałe o niezawodnej czujności Francuzów, którzy nie opuszczą w potrzebie swej „drugiej ojczyzny” i nie pozwolą naruszyć granic tego kraju, co strzeże całości kultury europejskiej!

J. B.-B.

KAMIENIE
ŻÓŁCIOWE

POWTAJA WSKUTEK ZŁEGO
FUNKCJONOWANIA WĄTROBY
STOSUJUCIE ZIOŁA

CHOLEKINAZA
H. Niemojewskiego

BROSZURY BEZPŁATNIE
LABOR. „CHOLEKINAZA”
WARSZAWA, NOWY ŚWIĄTŚ.
ORAZ APT. 3ME APT.

PRZEGLĄD PRASY

KTO JEST PRZYCZYNA UPADKU NASZEJ LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ?

Mysł Narodowa w nr. 34, zajmując się analizą przyczyn, z powodu których nasza literatura współczesna nie rozchodzi się poza granice Polski, wskazuje na winowajcę tego stanu rzeczy. Winowajcą jest Leon Piwiński. Zdziwiony tym odkryciem czytelnik zapyta, dlaczego. *Mysł Narodowa* odpowie: ponieważ Piwiński w *Roczniku Literackim* aż dwie stronicie poświęca Irene Krzywickiej, podobno entuzjastycznie się ponad dopuszczalną miarę jej powieścią. Jest to objawem groźnym, gdyż świadczyć ma o atmosferze, w której talenty marnieją, a nie rozwijają się i nie kwitną. Czytelnik oburzony na destrukcyjną robotę Piwińskiego sięga po najnowszy tom *Rocznika*. Cytaty, które podaje M. N., są jakoś dziwnie mało entuzjastyczne; prawdopodobnie w *Roczniku* muszą się znajdować najpochlebniejsze, reklamowe zdania. Jakież jest zdziwienie czytelnika, kiedy w *Roczniku* również nie może się doszukać owego entuzjazmu. Coś tu nie w porządku. Jak sobie wytłumaczyć niezwykle subiektywne odczucie publicysty M. N., który dostrzegł entuzjazm tam, gdzie normalny czytelnik widzi sąd krytyczny, nie wyłożony wprawdzie systemem „łopatowym”, ale wcale nie-trudny do przeniknięcia? Możliwe są dwa przypuszczenia: 1) istnieją różne typy *Rocznika* — publicysta ma więc inny egzemplarz w ręku niż czytelnik, 2) publicysta nie umie czytać. Sądymy, że M. N. nie omieszka wyjawić, które z tych przypuszczeń jest słuszne.

RELATYWIZM OBIEKTYWIZMU HISTORYCZNEGO. St. Piasecki w *Prosto z mostu* poruszył interesujący problem zmiany stosunku wobec wypadków czy osobistości historycznych. Zależnie od warunków politycznych i społecznych danego okresu zmienia się uczucie nastawienie do poszczególnych faktów historycznych. Odbywa się w toku tego ustawiczny proces „bronzowania” i „od-bronzowywania”. Postaci w jednym okresie niedoceniane w innym są przeceniane zależnie od tego, czy problematyka ich działalności wiąże się ściślej lub mniej ściślej z problematyką aktualną. Oczywiście, że często wynikają z zbytnej chęci aktualizowania nieporozumienia. Historia, o ile wychodzi poza mechaniczne wyliczanie faktów, a wkracza w dziedzinę wartościowania, ulega ustawicznemu fluktuacjom. Szczególnie w okresach przemian historycznych zjawisko to wyraźnie występuje. Piasecki wskazuje na „karierę” Batorego w ostatnich czasach. Kwestionuje on jednak słuszność tej „karierę”, uważając, że windowanie Batorego na piedestał największego męża stanu Polaki jest oparte na imputowaniu mu dążeń politycznych, które były mu właściwe dość obce. Polityka Batorego według P. nie wykazuje tendencji, które by na dalszą metę historyczną były korzystne dla interesów państwa polskiego. Zbieżność zaś „gestu” Batorego z dążeniami współczesnymi jest właściwie, według niego, raczej formalna, a więc w głębszej istocie pozorna. P. uważa, że raczej polityka pierwszych Piastów i Jagiellonów wykazuje momenty większej aktualności państwowej (*Prosto z mostu* nr 38).

POLSKA KRZEPA I DEGENERACI. Jak przedstawia się „publicystyka” pełnych krzepy młodzieńców z *Mysli Polskiej*, może świadczyć artykuł p. T. Zahory p. t. *Noce umówione* (nr 15). Słownictwo następujące: „Dziś, gdy nam trzeba krzepy duchowej (nie tylko tej byczej, olimpijskiej), natrętnie owady zgniliznę szerzą, „nieśmiertelni” siewtystom patronują i o „nadmiarze niedoumiania” gładzą. Zaślinieni impotenci duchowi (do sanatorium) lub agenci wrogów (do kryminału). Czas położić kres tym sabatom w noce umówione”. Kryteria estetyczne: wierze Leśmiana — młodopolsko obłeśnie i perwersyjnie dwuznaczne — jednym słowem pornograficzne. Kryteria intelektualne na podobnej wyżynie. Styl — nieudolne naśladownictwo świątecznych pamfletów Nowaczyńskiego. *Mysł Polska* chce utrwalać wartości zachodnioeuropejskie w kulturze polskiej. Dziwnie nam jednak ten „zachód” przypomina naszego wachodniego sąsiada. Poza tym biedny Nowaczyński! Literacka progenitura jego chyba jemu najwięcej musi dokuczać. Patrząc na tę babrąncę o pretensjach satyrycznych, usiłującą podrabiać jego styl i metody pisarskie, czytać Brandstaeterów, Zahorów i im podobnych — to jednak chyba wyjątkowo gorzka zemsta losu na znakomitym pisarzu. I chyba świetny temat do pamfletu.

W. BAK

OBRZYDLIWOŚĆ. Wychodzi w Łodzi piśmko p. t. *Człowiek Wolny* z patetycznym podtytułkiem *Zew sumienia*. Cel wydawnictwa — widoczny; jest nim propaganda komunistyczna, wszakże uprawiana nie wprost, lecz drogą okrężną. Do roboty agitacyjnej wpręża się wszystkie świętości

„burżuazyjno-narodowe”. W tym osobliwym piśmku Chrystusa nazywa się „Boskim Nauczycielem”, więc zupełnie w duchu wyznaniowym. Nie brak również akcentów patriotycznych. Imię Marszałka Piłsudskiego widnieje niemal na każdej szpalcie. Rozumowanie redakcji jest wcale trafne: bezkrytyczny czytelnik, skoro zobaczy, że mu prawią o Bogu i odzywają się ze czcią o wielkich postaciach z historii Polski, pójdzie bez obaw na pasku agitacyjnym — i dojdzie tam, gdzie trzeba.

Nie ryzykowałbym tego sądu o łódzkim piśmku na mocy pierwszych jego stron, utrzymanych w charakterze szablonowej deklamacji humanitarnej; nie dodają one nic nowego do tysięcy innych tego typu elaboratów. Te artykułki mogły być nawet pisane w dobrej wierze. Właściwe oblicze świstka ukazuje się dopiero w rubryce *Odpowiedzi Redakcji*. Oto „Polakowi z Łodzi” tak redakcja klaruje wypadki w Hiszpanii „...niech Pan łaskawie zastanowi się jeszcze nad istotą pojęcia demokracji, chrystianizmu i sumienia ludzkiego (podkr. moje). Jesteśmy pewni, że — w zakresie spraw poruszonych w liście Pańskim do nas — po tym zastanowieniu się, będzie Pan potępiał powstańców hiszpańskich...” Dalej: „hasła hitlerysty są zaprzeczeniem Nauki (tak, dużą literą!) Chrystusowej”.

Niewątpliwie pomiędzy rasizmem i chrystianizmem zachodzą sprzeczności nie do pogodzenia. Ale nie ma chyba tak głupiego człowieka w Polsce, który by poważnie myślał, że w interesie sumienia i chrystianizmu jest zwycięstwo band komunistyczno-anarchistycznych, rabujących kościoły, wyrzynających zakonników, uprawiających okrucieństwa, wobec których zwykle rozstrzelanie przez powstańców sąd wojenny jest sielanką. Nie wątpimy zresztą, że redakcja łódzkiego piśmka rozumie doskonale nonsensowność tego rodzaju przypuszczenia — po prostu za daleko zabrnęła w cynizmie i bezczelności.

Wyuzdanie agitacyjne nie ma granic. Wypadek *Człowieka Wolnego* nie jest też oryginalny. Jeśli wspomniemy o nim, to jedynie dlatego, by różni „Polacy z Łodzi”, którzy w dobrej wierze korespondują z komunistyczną gazetką, wiedzieli, czego się po niej mogą spodziewać.

JEDNOSTRONNY HUMANITARYZM. *Wiadomości Literackie*, jak wiadomo, holdują pacyfizmowi i wyznają ideały humanitarne. W zestawieniu z tą ideologią piśmka dość dziwnie hrzmi notatka w rubryce *Camera obscura* (Nr. 670) p. t. *Z kroniki kryminalnej*. Autor notatki, a raczej redakcja — jest to rubryka niepodpisowana — atakuje *Ilustrowany Kurier Codzienny* za jego ostre ataki na hiszpańską czerwoną milicję. Nie myślimy bronić, ani tym bardziej zachwycać się krakowską gazetą. Nie o nią też chodzi. Zastanawiające jest tylko, że *wiadomościowych* pacyfistów tak bardzo irtuje każdy atak na czerwoną Hiszpanię. Zdawałoby się, że humanitarysta i pacyfista zwraca się przede wszystkim przeciw tym, którzy najjaśniej jego ideologii zaprzeczają. A czyżby W. L. miały wątpliwości, kto w domowej wojnie hiszpańskiej wziął rekord barbarzyństwa?

j. e. s.

SOCJOLOGIA

NOWE WYDAWNICTWA SOCJOLOGICZNE

Założony i kierowany przez prof. Floriana Znanieckiego od roku 1920 Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu stał się nie tylko ośrodkiem prac naukowych polskich socjologów, ale i głównym centrum wydawnictw socjologicznych. Mamy oto dwie nowe książki wydane przez ten tak bardzo zasłużony naszej kulturze Instytut. Pierwsza z nich to F. Znanieckiego *Teoria czynów społecznych* (*Social Actions*, New York — Poznań, Polski Instytut Socjologiczny, 1936, str. XIX + 746, 8^o). Zgodnie z metodycznymi założeniami autora, a przedstawianymi zarówno we *Wstępie do socjologii* (1922) jak i w *The Method of Sociology* (1934), wydany tom stanowi część pierwszą zapowiedzianych prac, które mają objąć cały system socjologii. Treścią tej książki są badania nad czynami społecznymi t. zn. takimi czynami, które za przedmiot działania mają człowieka, dążą do wywołania z jego strony określonej reakcji; opis ich i wyodrębnienie od innych czynów, które nie są społecznymi, tylko np. ekonomicznymi, artystycznymi, technicznymi i t. d.

Rozważania swoje rozpoczyna autor od rozdziału: „Psychologia czy socjologia?” i stwierdza, że poruszone przez niego zagadnienia są przedmiotem socjologii, nie zaś, jak usiłowano tłumaczyć, psychologii. Dalej tok myśli wyklada Znaniecki w następujących rozdziałach: *Geneza czynności społecznych*. — Układ i struktura czynności społecznych. — Teorie sobkostwa i towarzyskości. — Współdziałające kierownictwo. — Kierownictwo wychowawcze. — Uczestniczą-

ca uległość. — Zamierzona uległość. — Naśladownictwo. — Pierwotna opozycja. — Represja przestępczego zachowania. — Bunt. — Zbiorowa opozycja. — Zaczepność. — Altruizm. — Wrogość. — Egoistyczny kompromis. — Związek między czynami społecznymi i niespołecznymi. Piękny ten tom kończy obszerny, krytyczny przegląd literatury, spis nazwisk podanych w tekście oraz indeks rzeczowy. Prof. Znaniecki analiz swoich dokonywa na materiale rzeczywistym, konkretnym, opiera się już to na materiałach rękopiśmiennych, znajdujących się w posiadaniu Polskiego Instytutu Socjologicznego w Poznaniu, już to danych, zawartych w pracach etnologicznych, doświadczeniach i obserwacjach własnych, ponadto zaś na materiałach zebranych przez asystentów i uczniów autora w Uniwersytecie Poznańskim i Columbia University w Nowym Jorku. *Social Actions* jest dziełem o nieprzemijającej wartości, jest dziełem porządkującym i otwierającym drogi dla dalszego wysubtelniania badań socjologicznych. Czytelnik, zamykający książkę Znanieckiego, z zadowoleniem musi stwierdzić, że zapoznał się z pracą, będącą wynikiem wielkiego i rzetelnego wysiłku autora.

Drugą książką, wydaną przez tenże Instytut, jest zeszyt 1—2 tomu IV *Przeglądu Socjologicznego*. Pod troskliwą i energiczną redakcją doc. dr. Józefa Chałasińskiego to jedyne czasopismo w Polsce, poświęcone całkowicie socjologii, zaczyna ukazywać się regularnie, pomnaża liczbę artykułów i sprawozdań, skupia coraz liczniejszą grupę swoich współpracowników a nadto nie obniżając poziomu wprowadza pewną żywość, tak konieczną w każdym periodyku, przez umiejętne rozmieszczanie artykułów w poszczególnych tomach. W ostatnim numerze obok bogatego działu recenzji, w których omówiono 27 książek na 60 stronach, znajdujemy następujące artykuły: St. Ossowski „Dziedziczność i środowisko”, G. Ichheiser „Obraz osobowości ze stanowiska psychologii społecznej”, Al. Hertz „Militaryzacja stronnictwa politycznego”, J. St. Bystron „Szlaki migracyjne na ziemiach polskich”, H. Tenenbaum „Siła atrakcyjna skupień wielkomiejskich w Polsce w latach 1921—1931”, J. Szymanowska „Peryferyjna dzielnica wielkiego miasta”, J. Obrębski „Problem grup etnicznych w etnologii i jego socjologiczne ujęcie”, J. Szczepański „W sprawie kontrolowanej obserwacji porównawczej” oraz St. Rychliński „Środowisko a praca społeczna”. Wymienione artykuły przekonywują nas, że *Przegląd Socjologiczny* mogą z satysfakcją czytać nie tylko „zawodowi” socjologowie. Z braku miejsca nie będziemy tu streszczać wszystkich prac wymienionych, choć wszystkie zasługują na uwagę, że wymienimy dla przykładu artykuł Bystronia, wykazujący ogromne znanstwo autora w poruszonym temacie, zatrzymamy się tylko na trzech. St. Ossowski przedstawia stan badań naukowych nad zagadnieniem „dziedziczność” a „środowisko”, a czyni to w sposób niezwykle sumienny i przekonywający, choć, niestety, nielatwy. Wywody swoje prowadzi autor ostrożnie, bo świadomy jest tego, iż od rozstrzygnięcia zagadnienia zależna będzie sfera praktycznej działalności człowieka. Jednak kończy autor wnioskiem, „że zupełne wyodrębnienie tego, co w dyspozycjach osobników jest wynikiem różnic dziedziczności biologicznej, od tego, co jest wynikiem różnic środowiska, nie da się pomyśleć nawet teoretycznie...”. G. Ichheiser przedstawia niemożliwość poznania człowieka takim jakim „właściwie” on jest. Człowieka poznajemy jednostronnie na podstawie pewnego określonego stosunku (np. nauczyciel tworzy sobie obraz chłopca na podstawie stosunku w szkole, żołnierz oficera na tle stosunku życia koszarowego i t. p.), tworzymy sobie wogóle osobowość ludzką na podstawie pewnych tylko właściwości realnych oraz z właściwości pozornych i nby-właściwości. Co więcej, tak stworzony obraz osobowości powoduje, że sama jednostka ujmuje siebie na podstawie wytworzonego o niej obrazu (por. Znaniecki: „jażń odzwierciedlona”). Duże zainteresowanie powinien wywołać artykuł Aleksandra Herta, który analizuje tak aktualne zagadnienie, jak militaryzacja współczesnych stronnictw politycznych, formowanie się monopartyj w walkach domowych oraz do maximum spotęgowany wzrost antagonizmów społecznych. Choć śmiałość, z jaką autor zbliży się do tak czułych zagadnień, zdobywa sympatię czytelnika, choć wiele pomieścił uwag, jak nam się wydaje, wnikliwych i trafnych, to jednak niektóre twierdzenia budzą wątpliwości. Być może, znajdziemy sposobność bliższego ich sformułowania.

JERZY MICHAŁOWSKI: *Wiosna nie ma pracy*. Warszawa 1935. Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Wiemy, że wiosna, tak samo jak miasto, przeżywa od kilku lat kryzys, objawiający się szczególnie we wzroście bezrobocia ludności rolnej oraz zmniejszonej konsumpcji. Zwalczanie tych dwu objawów kryzysu wiejskiego może być bez wątpienia skutecznym środkiem do ogólnej poprawy całej naszej

gospodarki narodowej. Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, dążąc do zdobycia pewnych dróg i środków w walce z bezrobociem na wsi, w pierwszym rzędzie postanowił zbadać obecną strukturę gospodarstwa społeczną wsi polskiej. Próby tej, na terenie powiatu rzeszowskiego, podjął się p. Jerzy Michałowski, a osiągnięte wyniki podał w książce *Wiosna nie ma pracy*. Jeżeli próba ta wypadła może mało zadowalająco, to uprzytomnić sobie musimy, że zbadanie życia ludności wiejskiej na terenie całego powiatu, w ciągu jednego tylko miesiąca (sierpień), przekraczało możliwości jednego badacza. Porównajmy nierównie skromniejsze wyniki osiągnięte w badaniu z b i o r o w y m wsi wiejskiej pod kierunkiem prof. v. Wiesse (*Das Dorf als soziales Gebilde*, 1927). Do autora można tylko mieć pretensję, że niedość wyraźnie odgraniczył wypowiedzi i oceny ludności badanej od spostrzeżeń własnych.

ANNA MINKOWSKA: *Rodzina bezrobotna* — na podstawie ankiety 1932 r. Warszawa 1935, Instytut Gospodarstwa Społecznego.

Pogłębiający się kryzys gospodarczy powoduje stały wzrost bezrobocia, powoduje stały wzrost mas, których sposób bytowania upokarza godność ludzką. Aby zdobyć zdolność skutecznej pomocy społecznej bezrobotnym, trzeba przede wszystkim poznać dokładnie życie bezrobotnych, warunki ich bytu, najbardziej odczuwane przez nich potrzeby i t. d. Zbadania tych spraw podjął się między innymi na terenie Warszawy Instytut Gospodarstwa Społecznego. Przeprowadzono ankietę wśród bezrobotnych rodzin, polecono im prowadzić przez pewien określony czas dokładny budżet rodzinny. Otrzymane materiały posłużyły p. Minkowskiej do opracowania omawianej książki. Nie wydaje nam się jednak, by to, co z takim nakładem wysiłku dała nam autorka, było „obrazem” odtwarzającym rzeczywistość życia rodziny bezrobotnej. Z książki tej możemy poznać tylko fragmenty, pewne wycinki tej rzeczywistości. Nie jest to winą p. Minkowskiej ale beceremonialnie pokutującej metody statystycznej. A niepodobna wymagać, by cyfra mogła odtworzyć życie społeczne nie tylko jednostki, ale i grupy społecznej. Jednak i to, co poruszone zostało w książce p. Minkowskiej, posiada taką niesłychaną wartość i doniosłość, taką moc posiadają cytowane fakty, że powściągliwość autorki i jej maksymalny obiektywizm narzucał się jako nieunikniona konieczność dla zachowania pełnej wartości opracowanego tematu. Wydaje się nam atoli, że tej kardynalnej zasadzie autorka uchyliła. Być może, iż częściowo usprawiedliwi ją bliskość przeżywania tych spraw, gdy dokonywała swoich badań, ale wskutek tego nie przysłużyła się zapewne do wywołania w czytelniku tych reakcji, na jakie liczyła. Niektóre ustępy książki może zbyt silnie wyudatniają osobiste poglądy autorki, w następstwie czego zaciemniają troskliwie modelowany obraz rzeczywistości. Na str. 97 autorka zdaje się narzekać na „ustrój nasz, który „wciąż jeszcze opiera się na „filarach moralnych”. Obawiamy się, że świą podobne twierdzenia nie mogą budzić tak niepożądanych refleksyj: czy i w jakiej mierze mogło wpłynąć na przedstawienie życia rodziny bezrobotnej pierwotne nastawienie autorki, niedość zdolnej do ohamowania w narzucaniu swoich przekonań? Mało też przekonywujące jest zdanie (str. 104): „wdzięczność społeczeństwa to retoryczny zwrot, stosowany podczas uroczystości narodowych”. W związku z tą samą stroną chętnie zapytalibyśmy autorkę, czy udział w walce o niepodległość narodu jest zasługą, czy — jak nam się wydaje — spełnionym obowiązkiem? Sądymy dalej, że opinia autorki iż „dziecko, które kryzys obecny zastał we wczesnym wieku... gdy dorósł... nie p r z e b i e r a j a c w s r o d k a c h (podkr. podpisane) postara się o zdobycie chleba” (str. 95), jest bez wątpienia wysoce krzywdząca dla tych przyszłych ludzi dorosłych, nadto wykracza daleko poza przyjęte ramy prac naukowych. A już szczerze zdumienie i niepokój budzi się w nas, gdy czytamy: „Przepaść, dzieląca rodziców od dzieci, starannie ukrywana w sferach posiadających pod płaszczykiem obłudnych form (podkr. podpisane) t. zw. dobrego tonu, występuje tu (t. zn. w rodzinie robotniczej, i to pracującej!) jawnie (str. 10)”. Ponieważ znany nam jest w pewnej mierze stosunek rodziców do dzieci i odwrotnie (por. F. Znaniecki: *Social Actions*, str. 402), czy to na podstawie własnych doświadczeń i obserwacji, czy to zebranych materiałów jak np. zyciorysy robotnicze, to, na szczęście, nie możemy zupełnie podzielać opinii autorki.

Choć są więc, jak widzieliśmy, w książce pewne niedokładności i niedociągnięcia, wynikające z nieopanowania własnych mniemań, oraz, jak nam się wydaje, z nadmiernej łatwości pisarskiej a nadto z uciążliwymi zastosowanej metody, uważamy, że podjęcie przez autorkę tak niewdzięcznego trudu było rzeczą pożyteczną.

WIEŚLAW KRYŃSKI

NOWE KSIĄŻKI

EKONOMIA

DR. ALEKSANDER SZCZEPAŃSKI: *Rola wsi w przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego w Polsce*. Katowice 1936. Wydawnictwo Koła Ekonomistów w Katowicach. Zeszyt 5. Str. 34.

Odczyt wygłoszony w Kole Ekonomistów w Katowicach dnia 19 lutego 1936 r.

ALEKSANDER PAWŁOWSKI: *Obecna polityka taborowa w Polsce w związku z rozwojem przemysłu*. Odczyt wygłoszony 13 czerwca 1936 r. na zjeździe inżynierów kolejowych we Lwowie. Napisał Inżynier Aleksander Pawłowski. Bez miejsca wydania. 1936. Str. 16.

HISTORIA

JÓZEF PIŁSUDSKI: *Pisma — Mowy — Rozkazy*. Tom dodatkowy. Komitet Redakcyjny: Julian Stachiewicz, Leon Wasilewski i Wł. Pobóg-Malinowski. Warszawa 1936. Nakładem Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski. Str. VII + 449 + LXXVIII. Zł. 12.—

Po pięcioletniej z górą pracy Komitetu Redakcyjnego, który opracował znane 10-ciotomowe wydanie zbiorowe *Dzieł Józefa Piłsudskiego*, wydane w latach 1930 — 1933, ukazał się na półkach księgarskich tom dodatkowy (Suplementy), stanowiący znakomite uzupełnienie zbiorowego wydania prac pisarskich Marszałka.

Tom dodatkowy pod względem konstrukcji i układu nie różni się niczym od poszczególnych poprzednio wydanych tomów. Komitet Redakcyjny poprzedza go przedmową, z której wynika, że trzymał się on ustalonej już metody pracy i nie wprowadzał do tomu Suplementów, poza nieistotnymi szczegółami, żadnych zmian w układzie, tym bardziej, że tom ten pomyślany był, jak to już jego tytuł wskazuje, jako uzupełnienie całości dotychczas wydanej.

Pod względem pochodzenia i zawartości tomu dodatkowego składają się trzy grupy materiałów: a) materiały, które odnaleziono i ustalono ich autorstwo już po wydaniu poprzednich tomów, b) materiały, które ukazały się w druku w ciągu lat ostatnich, wreszcie c) materiały, które sama redakcja drukowała z myślą wydania ich w tomie dodatkowym.

Całość tomu ma układ rzeczowo-chronologiczny i zawiera na przestrzeni lat następujące działy z okresu lat 1885 — 1934: 1. Dokumenty o charakterze osobistym. 2. Artykuły. 3. Odezwy. 4. Memoriał złożony Ministerstwu Spraw Zagranicznych w Tokio. 5. Wykłady i sprawozdania. 6. Rozkazy. 7. Przemówienia na plenarnych posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego. 8. Przemówienia różne. 9. Listy. 10. Wywiady.

Tom Suplementów zamykają przypisy oraz skrócony spis treści i pseudonimów.

Już z samego przeglądu treści widać, że nowe wydawnictwo przynosi niezwykle cenny, bardzo ciekawy i bogaty materiał uzupełniający, który charakteryzuje nie tylko wielkością dokonanego przez Józefa Piłsudskiego, ale daje wiele wiadomości do dziejów Polski z ostatnich kilku dziesiątków lat. Stąd też wydany już dziesięciotomowy zbiór *Dzieł Józefa Piłsudskiego*, łącznie z tomem dodatkowym, stanowiącym hędlie prawie zupełną całość ogłoszonych drukiem przejawów działalności i twórczości pisarskiej Wielkiego Marszałka.

Stąd też, jakkolwiek tom dodatkowy stanowi zamknięcie w sobie całość, każdy kto posiada komplet *Pism — Mów — Rozkazów Józefa Piłsudskiego*, powinien bezwarunkowo uzupełnić go tym tomem, gdyż bez niego zbiór posiadany będzie niekompletny i straci przez to wiele na swej wartości.

Zaznaczyć należy, że zarówno format jak szata zewnętrzna tomu dodatkowego, papier bezdrzewny i płócienna oprawa o identycznym z dotychczas wydanymi tomami kolorze są całkowicie dostosowane do całości kompletu.

Zamówienia pisemne i telefoniczne przyjmuje Administracja Instytutu Józefa Piłsudskiego, Warszawa, Aleje Ujazdowskie 1, tel. 7-10-36.

HISTORIA LITERATURY

KLARA TUREY: *Bolesław Prus a romantyzm*. Lwów 1937 (?). Badania Literackie. Tom VIII. Na okładce: Nakładem Filomaty, Lwów 1937. Str. 225.

Teza, której przedstawieniu i udowodnieniu poświęcone jest powyższe studium, tak brzmi: „Powieść Prusa korzeniami swymi tkwi w romantyzmie polskim, ale wyrasta również z literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej. Pojawiają się w niej rysy pokrewne twórczości Dickensa i Freytaga, Wiktora Hugo, Balzaca i Flauberta. Współczucie dla biednych i pokrzywdzonych, altruizm, drobiazgowość, a po części metoda analizy psychologicznej zbliżają Prusa do Dickensa, pozytywistyczne umiłowanie pracy do Freytaga. Podstawowy w powieści Prusa jest indywidualizm i niezrozumienie przez tłum jednostki wybitnej, jak u Wiktora Hugo, rozumienie dla struktury społeczeństwa, jak w powieści Balzaca. Zasadnicze problemy romantyczne, romantyzm jako podłoże twórczości realistycznej, zbliżają Prusa najbardziej do Gustawa Flauberta“. Rzeczą składa się z następujących rozdziałów głównych: Wstęp: Romantyzm po roku 1863. — Indywidualizm romantyczny. — Przejście literackie. — Miłość romantyczna. — Psychopatologia. — Romantyczna psychologia dziecka. — Postaci sentymentalne i romantyczne. — Romantyzm w ideologii Prusa. — Zakończenie: Romantyczne podłoże twórczości Prusa.

HENRYK ŻYCZYŃSKI: *St. Brzozowskiego Kultura i życie*. Lublin 1936. Str. 12.

Jest to odbitka z *Prądu* za lipiec-sierpień r. b.

Autor, rozpatrując świeżo przez Instytut Literacki ogłoszone nowe wydanie *Kultury i życia Stanisława Brzozowskiego*, dochodzi do następującej konkluzji: „Jeżeli teraz jeszcze raz zechcemy rzucić okiem na kilkuletni trud myślowy młodego filozofa, utrwalony w *Kulturze i życiu*, możemy stwierdzić, że przetrwał spór rzeczy. U Crocego i Wilde'a uczył się estetyki i krytyki, H. Rickert pozwolił mu przezwyciężyć przyrodniczo nastawiony pozytywizm, A. Richl i H. Münsterberg wtajemniczyli go w świat wartości, O. Weininger podważył w nim szacunek dla zażyłzonego modernizmu i socjalizmu, Bergson pod złudną powłoką świata gotowego ukazał mu dynamiczne procesy stawiania się, wreszcie pragmatyzm i humanizm doprowadziły go do sformułowania sobie idei pracy. Wiedza, jaką zdobył, stała się organiczną częścią jego jestestwa, weszła niejako w krew i ciało, a ten fakt wewnętrznej zespolenia dał mu właściwy styl pisarski, który nie ma nic wspólnego z recytowaniem rzeczy wyuczonych, lecz stale rozbrzmiewa tonem, dobytym z głębin przekonania“.

POEZJA

STEFAN NAPIERSKI: *Liryki francuskie*. Tom I. Warszawa 1936. Skł. gl. Towarzystwo Wydawnicze, J. Mortkiewicz. Str. 140.

Tom zawiera przekłady z następujących poetów (uszergowanych w porządku alfabetycznym): P. Aeschimann, F.-P. Alibert, G. Apollinaire, L. Aragon, C. Arnaud, H. Arp, T. de Banville, Ch. Baudelaire, J.M. Bernard, A. Bertrand, A. Bréton, F. Carco, L. Le Cardonnell, B. Cendrars, Ph. Chabaneix, R. Char, P. Claudel, J. Cocteau, Ch. Cros, T. Derème, P. Dermée, M. Desbordes-Valmore, R. Desnos, L. Deubel, F. Divoire, G. Duhamel, P. Eluard, F. Eon, Fagus, L.-P. Fargue, A. France, J. Gasquet, A. Gide i Ch. Guérin. — Na końcu tomu znajdują się krótkie „noty bibliograficzne“, w których podano rok urodzenia każdego poety i najważniejsze pozycje bibliograficzne jego utworów, wyłącznie poetyckie. — Niejaki wątpliwość budzi podany tu rok urodzenia A. Aragona: 1857. Wynikałoby z tego, że ten „naczelny poeta nadrealizmu“ a „obecnie zdecydowany marxista“ liczy sobie dziś lat 79. Czy nie za dużo?

PODRECZNIKI

KAZIMIERZ NITSCH: *Pisownia polska*. Przepisy. Słownik. Według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z roku 1936. Lwów — Warszawa, 1936. Książnica-Atlas. Str. 208. Zł. 2.40.

O różnicach tego podręcznika w stosunku do uchwał Komitetu Ortograficznego ogłoszonych jako XI wydanie *Pisowni Polskiej Akademii Umiejętności*, pisze autor we wstępie: „Niniejsze opracowanie różni się od tamtego, „oficjalnego“, już zewnętrznie znacznie większymi rozmiarami. Bo chociaż i tam, t. j. w samych uchwałach Komitetu, wykroczone tu i ówdzie — z konieczności — poza zagadnienia czysto ortograficzne, to tu dzieje się to częściej... w zgodzie z żądaniami publiczności, nie mogącej zawsze ściśle rozgraniczyć ortografii od ortopei czy nawet gramatyki i chcęcej tu mieć jak najwięcej pouceń. Po wtóre daje się tu czasem bliższe wyjaśnienia. Wreszcie o wiele, bo blisko 4 razy obszerniejszy jest słownik, zawierający nie tylko znacznie więcej wyrazów pochodnych i technicznych... ale też stale te najważniejsze formy fleksyjne, co do których mogą zachodzić wątpliwości“. — Książka wydrukowana czystym, wyraźnym, choć niewielkim drukiem, oprawiona w trwały półkarton, nadaje się idealnie do użytku podręcznego. — O tym podręczniku pisowni i w ogóle o całej reformie ortograficznej napisał *Pion* obszerniej w niedawnej przyszłości.

PUBLICYSTYKA

KAZIMIERZ KALINOWSKI: *W walce o człowieka*. Warszawa 1936. Dom Książki Polskiej. Str. 200.

Książka niniejsza, wydana z zasilku Ministerstwa Opieki Społecznej przez Oddział Krakowski Towarzystwa Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość“, zawiera odczyty literacko-publicystyczne prezesa zarządu głównego tegoż Towarzystwa, włączone do programu Wykładów Powszechnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wygłoszone pierwotnie w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie na Kursach Alkoholologii i na ogólnopolskich Kongresach Przeciwalkoholowych w Krakowie i Wilnie.

ANTONI MADEJ: *Quo vadis Z. N. P.?* List otwarty do członków Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa 1936. Str. 20.

Jest to odbitka „Listu otwartego“ ogłoszonego w nr. 7 (99) *Zetu* z 1 lipca r. b. Rzeczą poprzedza krótka przedmowa Jerzego Brauna.

H. HALUSCHKA: *Adam i Ewa*. Psychologia na wesoło. Przełożyła Zofia Starowiejska-Morstinowa. Warszawa (1936). Wydawnictwo Księży Jezuitów. Str. 110. Zł. 2.—

H. HALUSCHKA: *W cztery oczy*. Przełożyła Zofia Starowiejska-Morstinowa. Warszawa (1936). Wydawnictwo Księży Jezuitów. Str. 126. Zł. 2.50.

Jest to tłumaczenie dwóch książek niemieckich Heleny Haluschka: *Fröhliches Wissen um Adam und Eva* i *Adam und Eva unter vier Augen*. W dialogu pomiędzy mężem i żoną rozpatrywany jest cały zakres współczesnej problematyki małżeńskie w duchu katolickim. Dialog brzmi lekko, błyskotliwie, czasem bardzo dowcipnie. Rzeczą jest ilustrowana dobrymi rysunkami Ernesta v. Dombrowskiego. Całość przeniknięta duchem obyczajowości niemieckiej; pożądana tu była raczej lokalizacja i adaptacja do stosunków polskich, niż dosłowny przekład.

WYDAWNICTWA PERIODYCZNE

MIESIĘCZNIK LITERACKI STUDIO, pod redakcją Bogusława Kuczyńskiego. Rok I. Nr. 5 — 6. Sierpień — wrzesień 1936. Str. 161 — 208. Prenumerata kwartalna zł. 2.—; numer pojedynczy zł. 0.80.

(L. P.) Nowy numer *Studia* rozpoczyna artykuł Wandy Melcer p. t. *Kuchnia powieściowa*. Jest to kontynuacja drukowanego w numerze poprzednim *Komentarza do „Dwóch osób“*. Autorce chodzi o taki eksperyment: „do każdego zdania każdej powieści dadzą się dorobić nieskończone komentarze, podające rodowód tego zdania czy tej grupy zdań“; bierze więc urywek ze swej ostatniej powieści (*Dwie osoby*, str. 163 — 165) i wyjaśnia, jakie rzeczywiste jej doświadczenia życiowe uwarunkowały powstanie tego urywka; podobny komentarz mogłaby autorka opracować do całej powieści (i naturalnie do wszystkich swoich utworów); w końcu zapewnia, że dalej kontynuować eksperymentu nie będzie, ale „że to jest prowokacja piszących: może pozwolą od tej strony zajrzeć do swoich książek?“ Nie wiem, czy pozwolą, ale wiem, że eksperyment p. Melcer jest bardzo pożyteczny: wykazuje namacalnie nonsens badań genetycznych w planie badań literacko-artystycznych. Badania te przeprowadza się zazwyczaj w odniesieniu do dzieł autorów dawno zmarłych, ale dopiero zastosowane do utworów najnowszych ujawniają swój właściwy charakter. Oczywiście, różne są u różnych zainteresowania; niektórzy lubią zaglądać do kuchni i innych zakamarków w cudzym mieszkaniu. Ale to nie są zainteresowania artystyczne. — Na drugim miejscu czytamy dokończenie pracy Alfreda Łaszowskiego: *Zagadnienie powieści filozoficznej*; zagadnienie to autor rozpatruje na przykładzie *Granic Nalkowskiej*. — Następnie Stefan Napierski (oto nazwisko, które musi się spotkać w każdym periodyku literackim!) w artykule p. t. *Satyra* stara się o scharakteryzowanie i ocenę *Jarmarku rymów* Tuwima. — Alicja Maciejewska pisze *Słów parę o Augustynie Gailicie*, pisarzu estońskim, którego przepisywał nowelę drukowało *Studio* w jednym z poprzednich numerów; dowiadujemy się tu, że p. Maciejewska przygotowuje przekład powieści Gailita *Tomasz Nipernaadi*. — Edwin Herbert tłumaczy, czym jest *Prom*, miesięcznik poetycki wychodzący w Poznaniu. — Bardzo ciekawy jest artykuł Kazimierza Truchanowskiego *Czy naśladowanie?* Autor odpiera zarzuty, jakie ukazywały się po wydrukowaniu w nr. 3 — 4 *Studia* fragmentu z jego powieści *Ulica W* *wszystkich Świętych*. Fragment ten ludzko przypomina atmosferę i artystyzm *Sklepów cynamonowych* Brunona Schulza. Otóż p. Truchanowski udowadnia danymi chronologicznymi, że zarówno wspomniany fragment jak inne swoje utwory pisał przed poznaniem książki Schulza; że był zdumiony, kiedy po raz pierwszy przeczytał jakiś utwór tego autora; że Schulzem się zachwyca i czeka na jego nowe utwory, „lecz nie po to, by z nich korzystać: ten rodzaj twórczości — powiada — jest również mój, całkowicie mi odpowiada i dlatego w ten sposób piszę“; słowem p. Truchanowski nie jest naśladowcą Schulza, tylko jego artystycznym sobowtórem. — Wybitnie zajmujący jest dział sprawozdań *Studia*, zwłaszcza notatki o nowych powieściach, podpisane tajemniczymi literkami *jb*. Nazywam je notatkami, ponieważ nie mają charakteru wykończonych recenzji; są bardzo inteligentne i przenikliwe, ale nie dają pojęcia o całości omawianej powieści. Tak np. wszystkie co tu napisano o *Adamie Grywałdzie* Tadeusza Brezy jest ponad wszelką wątpliwość słuszne; nie wspomniany jednak ani słowem o zasadniczym temacie tej powieści, którym jest homoseksualizm; tymczasem dla wielkiej liczby czytelników (należy do nich i piszący te słowa) sam temat jest tak wstrętny, że — niestety — przekreśla inne niewątpliwie wartości utworu i nie pozwala na bezstronny do nich stosunek; trudno: i empatia (*Einfühlung*) ma swoje granice — organiczne. Mniej tajemnicze literki widzimy pod recenzją z liryki: niemuniknione *sn*. Ciekawe refleksje budzą odpowiedzi na ankietę *Studia* p. t. *Kim jestem, co czytam i co piszę?* Z czterech odpowiedzi umieszczonych w tym numerze widać, jak ludzie „zwyczajni“, nie-piszący, nie-artysty straszliwie są przeniknięci literackością, jak gruntownie się „stylizują“; wydaje się, że to nie listy „żywych“ ludzi, lecz fragmenty z najnowszych powieści i nowel Nalkowskiej, Gojawczyńskiej, Szemplińskiej. — Z przyjemnością czyta się również drobniejsze rubryki *Studia*. Słuszny jest list Karola Irzykowskiego z pretensją do p. Wandy Melcer, że nie czytała *Walki o treść*, i tłumaczeniem, ile na tym straciła. Jeden z czytelników, p. Rafał Brander z Kolonij, przysłał redakcji wykaz błędów drukarskich w pierwszych czterech numerach *Studia*, wykaz zajmujący się najdrobniejszymi subtelnościami druku i układu, zakończony przypuszczeniem, że to wszystko i że jak na cztery numery to „bardzo niewiele“. Sztuka korekty jest jednak najtrudniejszą ze wszystkich sztuk: mogą zapewnić p. Brandera, że jego wykaz dałoby się co najmniej podwoić. Nawet odpowiedzi redakcji warto przeczytać; zwłaszcza cierpliwie wyjaśnienia udzielone takim panom — pladze wszystkich redakcyj — którzy zapowiadają nadsyłanie cudownych „korespondencji“ i przede wszystkim proszą o wystawienie im „legitymacji“, dowodzącej, że są współpracownikami pisma. — *Studio* ma własny charakter: jest intymne, spokojne, pewne siebie, nie zdenerwowane i nie denerwujące, nie nudne, warte czytania w całości; ale jego numery są trochę za szczupłe; życzymy mu, aby tę jedyną jego wadę dało się jak najprędzej usunąć.

TECZA. Ilustrowany miesięcznik. Rok X. Poznań. Wrzesień 1936. Nr. 9. Str. 86. Cena numeru zł. 2.—

Treść: Franciszek Mauriac: *Pielgrzymi w Lourdes*. Józef Kisielewski: *Musi być zwyciężek*. Jan Szule: *Port, który zamiera*. Karol Górski: *Bilans bezbożnictwa*. Bolesław Rudzki: *Atak komunizmu — w jesieni*. Franciszek Kusz: *500-lecie czczonej drukarskiej*. Adolf Nowaczyński: *Warszawskich dzieci* komendant. Jan Pietrzycki: *W*

mieście trubadurów. Stanisław Krokowski: *Włóczęga mówi*. Teodor Brandowski: *Historia łęczwego inicjału*. Jerzy Marlicz: *Broadway ma 30 mil*. Jerzy Pietrkiewicz: *Poetom*. Roman Fajans: *Odnawiciel świata arabskiego*. Harold Nicolson: *Budapeszt pod władzą Beli Kuna*. Artem: *Kronika miesięczna*. Przeglądy: religijny, gospodarczy, społeczny, wydawniczy, wydawnictw zagranicznych. W szrankach. Na marginesie. Dział rozrywkowy. Liczne ilustracje.

NAOKOŁO ŚWIATA. Nr. 148. Warszawa 1936. Str. 80. Zeszyt pojedynczy zł. 1.—

Treść numeru: Wanda Kieszowska: *Cień*. T. If i E. Pietrow: *Nie auto, lecz diabeł*. G. W. Barodu: *Kier as. Borys Lewin: List w niebieskiej kopercie*. Steff: *Listy sprzed 2000 lat*. Raoul Collard: *Konkurencja*. H. W. Wallbrook: *Okropności South-Lambeth*. Holger Drachman: *Naokoło przykładu Horn*. Mac Butley: *Zimna krew*. Sherwood Andersen: *Zgubiona powieść*. H. Ludwig: *Zakochany bokser*. Carlo Valetti: *Salto mortale*. Jar. Haszek: *W stronach rodzinnych*. A. P. Ofer: *Do widzenia*. Y. Heltai: *Ostateczne życzenia*. Ryśunki E. Kunarka, E. Lipińskiego, E. Rotmanówny i H. Tomaszewskiego.

OKO W OKO. Miesięcznik. Wydawca: S. J. Imber. Lwów. Sierpień 1936. Nr. 2 Str. 16. Cena egz. zł. 0.50.

Numer składa się z kilku niepodpisanych artykułów. Autor artykułów historycznie polemizuje ze wszystkimi, kogo uwęża za antysemitów, głównie zaś z Wandą Melcer.

ARKADY. Redaktor: Wanda Filipowiczowa. Warszawa. Wrzesień 1936. Rok II. Nr. 9. Str. 479 — 532. Cena zeszytu zł. 3.—

Nowy zeszyt *Arkad* przynosi kilka zajmujących artykułów i mnóstwo doskonale wykonanych reprodukcji. Jerzy Sienkiewicz omawia *Malarstwo warszawskie I. połowy XIX w.* Rzeczą jest bogato ilustrowana, zwłaszcza obrazami Antoniego Brodowskiego; jeden z tych obrazów — *Portret brata*, 1815, z Państwowych Zbiorów Sztuki — wykonano w bardzo dobrej reprodukcji barwnej. O ogródkach przy domach miejskich pisze F. A. Polkowski w artykule *Właściciel, szafarz ogrodu w mieście, a twórca krajobrazu*, ilustrowanym licznymi fotografiami, w czym dwie barwne całości. Przechwał Smolik, w artykule *Gandara i Turfan*, omawia zabytki sztuki hellenistyczno-buddystycznej w muzeach europejskich; praca ilustrowana jest fotografiami zabytków z Museum für Völkerkunde w Berlinie, w tym również dwie fotografie barwne całości. O urzędzeniach współczesnych sklepów pisze P. M. Lubiński (*Nowy sklep*) a o *Konkursie na projekt pawilonu polskiego na wystawie paryskiej* Lech Niemcewicz, Komisarz Generalny Rządu Polskiego na Międzynarodowej Wystawie Paryskiej 1937 r. Obie prace bogato ilustrowane. Numer uzupełniają notatki *Pod Arkadami*; w związku z „Tygodniem Warszawy“ zamieszczono kilka odpowiednich fotografii.

PLASTYKA. Organ Bloku Zawodowych Artystów Plastyków. Warszawa. Marzec — kwiecień 1936. Wydawnictwa rok II. Nr. 3 — 4. Redaktor Mieczysław Schulz. Str. 233 — 264. Cena egz. zł. 2.—

Numer składa się z czterech artykułów: Edward Kokoszka: *Dwie drogi*, Stanisław Rogoyski: *Malarstwo na salonie Bloku Z. A. P.*, Tadeusz Pruszkowski: *Alfons Karny i Jan Miklaszewski: Palące sprawy* (na temat zamierzonego usunięcia nauki rysunków w szkołach średnich); pierwsze trzy artykuły są doskonale zilustrowane przeszło dwudziestoma reprodukcjami; wyjątkowo dobrze wyszły fotografie rzeźb Karnego. Zamyka numer obszerna kronika.

DOM — OSIEDLE — MIESZKANIE. Organ Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej. Warszawa. Sierpień 1936. Wydawnictwa rok VIII. Nr. 8. Redaktor: Arch. Michał Kostanecki. Str. 40. Cena numeru zł. 1.—

Treść: Wnętrze mieszkania. Arch. J. Goldschneider: *Urządzenie wnętrza*. Meble i wnętrza projektu studentów wydziału architektury Politechniki Warszawskiej. Arch. K. Prosyński: *Tani mebel*. Arch. M. Kostanecki. *Na marginesie wystawy „Sztuka wnętrza“*. Z Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej. Z książek i wydawnictw. Kronika.

BULLETIN DU BUREAU INTERNATIONAL D'EDUCATION. Genève. X-e année. 3-e trimestre 1936. N-o 40. Str. 105 — 156. Prenumerata roczna: 5 fr. szwajcarskich.

WYDAWNICTWA SZKOLNE ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE

Ks. dr. A. HAUSER i ks. FR. WÓJCİK: *Szkiele katechez*. Stron 56. Cena 70 groszy. Podręcznik dla uczącego.

Praca czyni zadość dawno w szkołach powszechnych odczuwanej potrzebie umożliwienia uczącemu religii szybkiego zorientowania się w rozkładzie tematu poszczególnych katechez. Zawiera ona zbiór szkiców lekcji dla I-szej klasy powszechnej wraz z kilkoma zasadniczymi uwagami metodycznymi w związku z realizacją nowego programu nauki religii w tejże klasie, oraz rozkład materiału nauczania na pojedyncze miesiące dla II-giej klasy powszechnej. Całość ujęta w formę jasną, przejrzystą i przystępną.

Ks. dr. H. HAUSNER, ks. dr. FR. KONIECZNY i ks. FR. WÓJCİK: *Nauka religii rzymskokatolickiej dla III kl. szkół powszechnych*. Stron 8. Cena zł. 1.—

Cała treść podręcznika podana jest w żywej formie narracyjnej, odpowiadającej psychice i poziomowi umysłowemu dziecka. Pojedyncze tytuły podręcznika stanowią zwarte całości logiczne i odpowiadają zarazem, w granicach możliwości, jednostkom lekcyjnym. Przykłady czerpano przede wszystkim z życia Świętych polskich i z naszych dziejów. W wyborze ilustracji kierowano się tym, aby całość treści i najważniejsze tematy były nimi objaśnione.

J. BALICKI i ST. MAYKOWSKI: *Mówią wieki*. Cz. IV. Podręcznik do nauki języka polskiego dla IV kl. gimnazjalnej. Stron 491. Rycin 86. Objaśnienia str. 36. Cena zł. 2.80.

Materiał ujęty został w cztery cykle. Cykl I: Praca u podstaw (Mądrzy po szkodzi. Z obłoków na ziemię. Ku pokrzepieniu serc). — Cykl II: Wytężyć słuch (Śpiący rycerze. Rok po roku marnie leci. Przed samym świtem). — Cykl III: Na ojczyzny łono (Wszyscy przeciw wszystkim. Wojenka... Wojenka. Jak strumienie do rzeki). — Cykl IV: Znowu razem. Rwęć pęta. We własnym domu. Posiew).

B. KUBSKI i ST. DOBRANIECKI: *Na zagonie*. Czytanka polskie dla III kl. szkół powszechnych 1-go stopnia, kurs A. Stron 176. Cena zł. 1.10.

Książka ta odznacza się starannym doboru materiału przy jednoczesnym nader przejrzystym układzie treści. Położono nacisk na jak najmniej skomplikowaną budowę zdań, unikając trudnych i mało uchwytnych sytuacji. Wszystkie ustępy pisane są językiem prostym, są żywe i odznaczają się łatwością i pięknym stylem. Tematy prac cichych zostały ujęte możliwie elastycznie. Ćwiczenia słownikowe, ortograficzne i gramatyczne, oparte na materiale, zawartym w tym podręczniku, zostały opracowane jako materiał do pracy cichej i rozmieszczone pod odpowiednimi czytankami.

B. KUBSKI i ST. MAYKOWSKI: *Światło w chacie*. Czytanka polskie dla IV kl. szkół powszechnych 1 stopnia, kurs A. Stron 29. Cena zł. 1.40.

Wśród autorów czytańek spotykamy nazwiska: Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, Kasprowicza, Lenartowicza, Konopnickiej, Dygasińskiego, Mickiewicza, Orkana, z współczesnych — Sieroszewskiego, Goetla, Choynowskiego i innych. Obrazowość i przystępność języka czytańek niewątpliwie wzbudzą zainteresowanie dzieci: ćwiczenia, rozmieszczone pod czytankami, ułatwiają nauczycielowi zarówno omawianie czytańek jak i organizację pracy cichej w ogóle.

Do książki dołączono dodatek, zawierający ćwiczenia gramatyczne w opracowaniu Jadwigi Dańciewiczowej.

J. DAŃCIEWICZOWA: *Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne* dla VI kl. szkół powszechnych 2 stopnia, kurs A. Stron 32. Cena zł. 0.40.

W podręczniku tym, w sposób dostosowany do poziomu umysłowego 11—13-letniego dziecka wiejskiego, ujęte zostały i opracowane zagadnienia gramatyczne, które starano się przedstawić w prostej i łatwo dostępnej formie. Zwracano przy tym uwagę zarówno na treść jak i na formę zjawisk językowych. Układ podręcznika pozwala również na połączenie gramatyki z innymi działami nauczania języka polskiego. Ćwiczenia, przeznaczone na naukę cichą, zostały specjalnie zaznaczone.

ST. JODŁOWSKI i W. TASZYCKI: *Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym*. Według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności z 21 kwietnia 1936 r. zatwierdzonych przez Ministerstwo W. R. i O. P. dnia 24 czerwca 1936 r. Drugie wydanie, rozszerzone. Str. 208. Zł. 0.90.

Podręcznik zawiera: 1) jasno i przystępnie przedstawione zasady nowej pisowni; 2) szczegółowo a zarazem przejrzysto ujęte zasady interpunkcji, ilustrowane licznymi przykładami; 3) praktycznie ułożony słownik ortograficzny, podający nie tylko pisownię form podstawowych, ale też wszystkich trudniejszych form odmiany wyrazów.

M. AUERBACH i K. DĄBROWSKI: *Disce latine*. Podręcznik do nauki łaciny dla III kl. gimn. Stron 116 + 122. (Słownik i preparacje). Rycin 63 + 5 map. Cena zł. 1.50.

Na treść podręcznika składają się przeważnie teksty oryginalne, na których uczeń kończyć powinien naukę fleksji i składni zdań pobocznych. Książka unika w ten sposób nudny ustępów, spreparowanych dla pewnych celów gramatycznych, a jednocześnie daje dobrą, żadnych wątpliwości nie budzącą, naturalną łacinę. Objasnienia słownika i preparacji — jak to już widać z objętości (122 str.) — są bardzo wyczerpujące.

— *Disce latine*. Podręcznik do nauki łaciny dla IV kl. gimn. Stron 114 + 124 (Słownik i preparacje). Rycin 30 + 4 mapy. Cena zł. 1.80.

Książka łacińska dla ostatniej klasy gimnazjum nowego typu zawiera wypisy łacińskie głównie z Liwiusza, Cyncerona, Salustiusza i Owidiusza, dalej wypisy z literatury naukowej (Piotrowicza, Morawskiego, Zielińskiego), a także przekłady z Plutarcha i Owidiusza. Do wymienionych autorów dodano jeszcze krótkie urywki z kodeksu Justyniana, z Epitomy Florusa i z wierszy Tibullusa. Z Cyncerona zamieszczono tu w skrócie Archiusza i pierwszą Katylinarkę, a ponadto z V Werynki crimen G o v i a n u m; z Liwiusza obok drugiej wojny punickiej urywki, odnoszące się do walk społecznych, a szczególnie do kwestii agrarnej. Ustępy poetyckie mają do połowy podany iloczas zgłosek z natury długich lub krótkich, aby ułatwić uczniom opanowanie heksametru i dystychu elegijnego. Do książki dodano w osobnej broszurze objaśnienia i słowniki: alfabetyczny słownik łacińsko-polski i słownik imion własnych, zajmujące ponad 7 arkuszy druku.

S. SKIMINA: *Elementa latina*. Podręcznik do nauki łaciny dla II kl. gimn. Stron 150. Rycin 70 + 1 mapa. Cena zł. 1.50.

Układ materiału obejmuje: 1. Czytankę łacińską (wraz z tekstami polskimi, przeznaczonymi do przekładu na język łaciński). — 2. Czytankę polską. — 3. Preparacje i słowniki (łacińsko-polski i polsko-łaciński). Przedstawienie tematu dokładne i przejrzyste. Poszczególne ustępy są tak ułożone, że nauczyciel ma zaznaczony z góry podział na drobniejsze części, ale może również w ich obrębie dokonywać podziału na jeszcze drobniejsze jednostki lekcyjne.

— *Elementa latina*. Podręcznik do nauki łaciny dla III kl. gimn. Stron 170. Rycin 34 + 1 mapa. Cena zł. 1.50.

Na treść książki składają się: 1. Czytanka łacińska (wraz z tekstami polskimi, przeznaczonymi do przekładu na język łaciński). — 2. Wypisy łacińskie (Nepos, Iustinus, Cicero, Rufus, Florus, Caesar). — 3. Czytanka polska. — 4. Preparacje i słowniki (łacińsko-polski i polsko-łaciński). W układzie podręcznika starał się autor ułatwić uczniowi w sposób przystępny i zajmujący przyswajanie wiadomości z zakresu języka łacińskiego. Naucze dopomagają w dużym stopniu odpowiednio opracowane preparacje oraz słowniki.

J. PIPEK: *Unser Drittes Deutsches Buch „Deutsche Lande, Deutsches Leben“*. Podręcznik do nauki języka niemieckiego dla III kl. gimn. Str. 279. Rycin 98. Cena zł. 1.80.

Podręcznik ten, będący dalszym ciągiem dwu poprzednich książek tegoż autora, jest nowym etapem w realizacji wymagań programu ministerialnego w zakresie nauki języków obcych w szkole średniej. Jego część metodyczna jest opracowana bardzo starannie. Słowniki zawierają prócz nowych wyrazów także te wszystkie, które dotychczas pojawiły się w podręcznikach tegoż autora dla kl. I i II.

Liczne i trafnie dobrane ilustracje uzupełniają całość.

J. MICHAŁOWSKA: *Wiadomości z przyrody i geografii* dla IV kl., 1 stopnia. Stron 208. Cena zł. 1.00.

Autorka starała się przede wszystkim stale kłaść nacisk na jak najdalej idące przystosowanie podręcznika do psychiki dziecka wiejskiego. Z tego względu cały materiał przykładowy, ilustrujący omawiane tematy, był wybierany z dziedzin bliskich zainteresowaniom dziecka.

Dostosowanie podręcznika do użytku w różnych warunkach miejscowych oraz przy różnej ilości nauczycieli (1 lub 2) stanowiło szczególną troskę autorki.

Przy opracowywaniu wiadomości o Polsce postarano się dać dość kompletny przegląd mapy Polski.

INŻ. M. SOBOLEWSKI: *Przyroda martwa*. Podręcznik dla VII klasy szkół powszechnych 3 stopnia. Stron 150. Rycin 178. Cena zł. 1.70.

Tok wykładu przeprowadzony w sposób jasny i interesujący, a równocześnie wzięty, przeplatany jest licznymi rycinami. Ćwiczenia laboratoryjne dobrane proste i łatwo wykonalne, gwarantujące dobre wyniki, a dające się wykonać przy pomocy tanich i prostych przyrządów.

J. RADOMSKI i dr. S. TOLPA: *Nauka o człowieku*. Podręcznik biologii dla IV kl. gimn. Stron 240. Rycin 150 + 2 tabl. kolorowe. Cena zł. 1.80.

Stosownie do wymagań ministerialnego programu nauki najwięcej miejsca w podręczniku poświęcono fizjologii i higienie, przy czym w szczególności szerokim zakresie została uwzględniona higiena, tak osobnicza jak i społeczna. — Fizjologię oparto na licznym prostych doświadczeniach oraz na wiadomościach zdobytych przez uczniów w nauce fizyki i chemii. Teksty ćwiczeń umieszczone są przed rozdziałami i jakkolwiek ułożono je w metodycznej kolejności, umożliwiającą po ukończeniu jednego doświadczenia wysuwanie zagadnień, na które odpowiedź dać mogą doświadczenia następane, — to jednak nie krępują one wcale inicjatyw nauczyciela ani ucznia. Obok doświadczeń fizjologicznych są ćwiczenia anatomiczne, dla których materiałem jest już to własny organizm ucznia, już to preparaty, modele i ryciny. Wiadomości z histologii rozwijane są stopniowo w miarę gromadzenia się materiału, a syntetyczne zestawienie znajduje się w specjalnym rozdziale o jednostki budowy istot żywych. Zgodnie z programem nauka o człowieku została związana z przypomnieniem i uzupełnieniem wiadomości z nauki o zwierzętach i roślinach.

T. ABRAMOWICZ i M. OKOŁOWICZ: *Arystetyka z geometrią* dla IV klasy szkół powszechnych 1 stopnia, kurs A. Stron 130. Cena zł. 1.—.

W celu nauczania dzieci umiejętności poprawnego i sprawnego rachowania podręcznik zawiera cały szereg ćwiczeń, które dzięki systematycznemu doborowi i stopniowaniu trudności dają uczącej się młodzieży możliwość nabycia odpowiedniej wprawy, a nawet biegłości w wykonywaniu działań. Tematy zadań tekstowych ze względów wychowawczych zostały oparte przede wszystkim na życiu Polski współczesnej, zachęcając jednocześnie do prowadzenia rachunków w gospodarstwie wiejskim. Jasny i przejrzysty układ podręcznika ułatwia w wysokim stopniu pracę zarówno ucznia jak i nauczyciela.

B. IWASZKIEWICZ: *Geometria dla IV klasy gimn.* Stron 161. Rycin 155. Cena zł. 1.20.

Część pierwsza zawiera powtórzenie poznanych w kl. II twierdzeń metrycznych i szereg dalszych; rozważania, związane z pomiarem długości

okręgu i pola koła, zamykają rozdział. Części drugiej poświęcono najwięcej uwagi. Zamieszczono w niej trudne dla ucznia rozważania początkowe z zakresu stereometrii i wiadomości o rzucie równoległym. Zasada stopniowania trudności znalazła tu zastosowanie w możliwie szerokim zakresie, położono też nacisk na dokładne utwierdzenie podstawowych twierdzeń w tym przeświadczeniu, że stanowią one niezastąpiony warunek podjęcia w przyswajaniu dalszego materiału. Ostatnią część podręcznika wypełniają wiadomości o mierzeniu pól i objętości brył.

Książka zawiera bogaty zbiór (ponad 400) zadań i rysunków (155).

WŁ. MARTYNOWICZOWNA: *Obrazy z przeszłości i teraźniejszości*. Podręcznik do nauki historii dla IV klasy szkoły powszechnej 1 stopnia, kurs A. Stron 138. Cena zł. 1.10.

Książka pomyślana jako podręcznik dla dzieci wiejskich. Przy obrazkowej formie przedstawiania dziejów została jednak zachowana pewna ciągłość historyczna. Obrazy zostały ujęte w formę żywą i zajmującą. Wykład odznacza się jasnością stylu i prostotą zdań oraz unikaniem wyrażań dla dzieci niezrozumiałych. Bogaty materiał ilustracyjny w wysokim stopniu podnosi wartość podręcznika.

WŁ. JAROSZ i A. KARGOL: *Polska. Dawne dzieje i dzisiejsze urządzenie*. Podręcznik do nauki historii dla VI klasy szkół powszechnych 2 stopnia, kurs A. Stron 178. Cena zł. 1.30.

Materiał naukowy podręcznika ilustruje najważniejsze momenty głównie z dziejów politycznych i ustrojowych Polski od początku czasów saskich do najnowszych, uwzględniając równocześnie wiadomości obywatelskie. Wiadomości o Polsce współczesnej zostały ujęte w sposób praktyczny i życiowy. Podręcznik został opracowany w ten sposób, aby zawarty w nim materiał mógł być z łatwością uzupełniony wiadomościami, odnoszącymi się do danej miejscowości i regionu. W celu zmuszenia uczniów do obserwacji zjawisk życia współczesnego i samodzielnego ujmowania zostały opracowane odpowiednie ćwiczenia.

A. CHAŁUBIŃSKA i M. JANISZEWSKI: *Geografia Polski*. Podręcznik do nauki geografii dla I kl. gimn. Stron 252. Rycin i map 229. Cena zł. 2. 10.

Treść: Wiadomości ogólne (Mapa Polski. Podziałka. Siatka geograficzna i kartograficzna. Położenie Polski w Europie. Granice. Obszar Polski. Mapa topograficzna. Rzeźba i podział Polski na krainy geograficzne. Jak powstały nasze ziemie oraz ich bogactwa. Gleby. Klimat. Sieć wodna. Obszary roślinne Polski. Świat zwierzęcy. Pierwotny krajobraz i człowiek. Wsie i miasta. Ilość ludności i gęstość zaludnienia. Podział administracyjny. Narodowości. Wyznania. Zawody ludności. Komunikacja. Polacy poza Polską). — Przegląd krajin (Tatry, Pieniny, Beskidy. Obniżenie podkarpackie. Wyżyna Śląska. Pasma Krakowsko-Częstochowskie. Kraków. Wyżyna Nidy. Wyżyna Sandomierska. Góry Świętokrzyskie. Wyżyna Lubelska. Roztocze. Podole. Wołyń. Lwów. Polesie. Wileńszczyzna. Wilno. Pojezierze Suwalskie. Podlasie. Warszawa. Mazowsze. Kujawy. Nizina Wielkopolska. Poznań. Pomorze. Dostęp Polski do morza. Wybrzeże. Gdynia. Wolne Miasto Gdańsk). — Spis miast liczących ponad 5.000 mieszkańców według spisu ludności z 9. XII. 1931.

K. BZOWSKI: *Geografia*. Podręcznik na III kl. gimn. Stron 234. Rycin 64 + IV tabl. Cena zł. 2.10.

Treść: I część. Elementy geografii ogólnej (Zasadnicze wiadomości o kształcie, wymiarach i ruchach ziemi. Ziemia we wszechświecie. Właściwości mapy. Przewodność rzezy rzezy powierzchni ziemi. Klimat. Przegląd najbardziej typowych dziedzin biogeograficznych świata. Rzut oka na rozszerzenie się horyzontu geograficznego ludzkości w ciągu wieków). — II część. Geografia szczegółowa krajów pozaeuropejskich (Afryka. Azja. Ameryka. Australia. Kraje polarne. Gospodarcza jednostka części świata: Komunikacje światowe i stosunki gospodarcze. Przegląd wielkich dróg komunikacyjnych świata. Wędrówki surowców i towarów. Ośrodki najgęstszej zaludnienia. Aktualne zagadnienia gospodarczo-polityczne świata).

ST. BAKOWSKI i FR. LORENZ: *Fizyka*. Podręcznik na IV kl. gimn. Stron 376. Rycin 441 + tabl. widm. Cena zł. 2. 50.

Treść: I. O siłach, pracy i ruchu. Siły. Praca i energia. Źródła pracy, silniki. O ruchach. O ciśnieniu powszechnym. Organika i fale. — II. O prądzie elektrycznym. Źródła prądu elektrycznego. Zjawiska elektrotechniczne. Ciepłota objawy prądu. Opór elektryczny. Łączenie ogniw i przewodów. Elektromagnesy i magnesy. Prądy indukcyjne. Zjawiska elektrostatyczne. Radio. Zjawiska elektryczne w gazach rozrzedzonych; ciałach promieniotwórczych. — III. O świetle. Rozchodzenie się światła. Odzwierciedlenie i załamanie światła. Narzędzia optyczne. Widma.

ST. DZIURZYŃSKI: *O życiu i budowie zwierząt*. Podręcznik zoologii na I kl. gimn. Stron 269. Rycin 195. Cena zł. 1.80.

Autor ujmuje materiał w ten sposób, by nie tylko dać uczniowi pewną ilość wiadomości o życiu i budowie zwierząt, lecz nadto, by go nauczyć dostrzegać, porównywać i opisywać, a także przeprowadzać samodzielnie najprostsze eksperymenty. To, co uczeń w tej dziedzinie zdobyć może sam lub z pomocą nauczyciela, umieszczone zostało w tzw. tekstach obserwacyjnych. Kładąc nacisk na faunę rodzimą podaje autor dla każdego typu naszej fauny ilość poznanych gatunków w Polsce, przez co uwidocznione zostało jej bogactwo. Tekst uzupełniają ryciny, w których położono nacisk na to, by ograniczyć schematy do minimum, a zastąpić ich obrazami takimi, jakie najłatwiej są dostępne dla umysłu dziecka.

Wszystkie książki i książkowe wydawnictwa periodyczne (miesięczniki, kwartalniki, roczniki), nadsyłane do PIONU, notowane są w dziale „Nowe Książki” i zaopatrzone — w miarę możliwości — w krótkie notki informacyjne. Recenzje dłuższe umieszcza redakcja podług własnego uznania i wyboru. PP. Wydawcy proszeni są o nadsyłanie swych wydań — o ile to możliwe — w dwóch egzemplarzach.

SPROSTOWANIE

W nr. 27 (144) Pionu opuszczono przez przeoczenie następujące opisy ilustracji:

Str. 3, ilustracja dolna, jest: „Szosa śląska pod Brzezinką”; powinno być: „Szosa śląska pod Brzezinką fot. Henryk Ulatowski, Warszawa”.

Str. 4, ilustracja górna, jest: „Ostrów tumski w Poznaniu”; powinno być: „Ostrów tumski w Poznaniu fot. R. S. Ulatowski, Warszawa”.

Str. 5, ilustracja górna i dolna, jest: „Pałac XX Czartoryskich w Gołuchowie” i „Katedra w Gnieźnie”; powinno być: „Pałac XX Czartoryskich w Gołuchowie fot. Henryk Poddębski, Warszawa” i „Katedra w Gnieźnie fot. Henryk Poddębski, Warszawa”.

Str. 5, ilustracja środkowa, jest: „Kościół z XII w. w Kruszycy”; powinno być: „Kościół z XII w. w Kruszycy, fot. R. S. Ulatowski, Poznań”.

Ponadto pod każdą z powyższych ilustracji opuszczono następującą uwagę: „Fotografia pochodzi ze zbiorów Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji”.

Rękopisy nadesłane a nie przyjęte do druku redakcja zwraca jedynie w tym razie, jeżeli autor dołączy do rękopisu kopertę zaadresowaną do siebie i dostatecznie ofrankowaną.

P. L. L. „LOT” Warszawa, we wrześniu 1936 r.

PAPIEROSY „LOT”

Na prośbę Polskich linii Lotniczych „LOT” Polski Monopol Tytoniowy wypuścił na rynek nowe papierosy ustnikowe pod nazwą „LOT”. Papierosy opakowane są w bardzo estetyczne pudełka z sylwetką samolotów i godłem naszej komunikacji powietrznej. W każdym pudełku znajduje się ulotka przedstawiająca sieć naszych szlaków lotniczych oraz adresy telefoniczne biur P. L. L. „LOT”.

Papierosy sporządzone są z bardzo wysokogatunkowego tytoniu i odpowiadają mniej więcej papierosom „Dames”, przy czym cena ich wynosi tylko 6 groszy za sztukę.

3.000 zł. NA NAGRODY W POSTACI 3.000 zł.

WYBORU NAJCENNIJSZYCH KSIĄŻEK

(m. inn. dzieła Marszałka Piłsudskiego: Pisma — Mowy — Rozkazy)

BEZPŁATNYCH PRENUMERAT KWARTALNYCH PIONU I OPRAWNYCH ROCZNIKÓW PISMA

przeznaczaliśmy dla prenumeratorów i czytelników Pionu, którzy zjedną nam w miesiącu propagandy (od 1 do 30 września) nowego prenumeratora co najmniej na przeciąg jednego kwartału.

Warunki: Ubiegający się o nagrody winien zgłosić w Administracji Pionu:

- 1) dowód (odpis dowodu) opłacenia kwartalnej prenumeraty (5 zł.) przez zjednanego prenumeratora w okresie od 1 do 30 września 1936 r.
- 2) własne nazwisko i adres wraz z wzmianką „nagrada”.

Nagrody będą przyznane po zamknięciu miesiąca propagandy wszystkim biorącym udział w propagandzie.

Wykaz przyznanych nagród będzie zainteresowanym przesłany na żądanie.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWINSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASINSKI